Ner 3. Kraków 1 lutego 1868. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI przy ul. Mikołajskiej Nr 451 na dole, otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9tej do 12tej rano.

Odezwa do Ziomków.

Odprowadziliśmy wczoraj do grobu jednego z najpierwszych pisarzów polskich. Idąc za trumną jego, czuliśmy wszyscy boleśnie, jaką stratę przez ten zgon ojczyzna nasza poniosła.

Śp. Karol Szajnocha był ozdobą, chlubą, prawdziwą sławą literatury naszej. Najpiękniejsze zalety historyka w nim się łączyły. Cześć dla przeszłości — bez bałwochwalstwa, sprawiedliwość — bez goryczy, miłość wszystkiego co nasze — bez zaślepienia. Zanurzył się w zamglonych głębiach dziejowych — nie żeby dogadzać pociągom erudycyi, nie żeby hasłami dzisiejszych nawoływań mieszać pokój umarłych, lecz aby rozświecać lampą miłości i rozwagi te groby minionéj wielkości naszéj i przeszłością teraźniejszość tłómaczyć, krzepiąc wiarę narodu w przyszłość.

Daleki od hołdowania doktrynom stronnictw, szukał zawsze w dziejach ojczystych tylko prawdy surowéj. A umiał ją wypowiadać z takim wdziękiem artysty i z takiem ciepłem Polaka że dzieła jego znalazły się w rękach całego narodu.

Jako człowiek i syn Ojczyzny, żywotem całym złożył świadectwo, że słowa jego były u niego wiarą. Od lat najmłodszych wyrzekł się wszystkiego, co tylko człowiekowi dogadza i schlebia osobistéj jego próżności. Poświęcenie dla rodziny, dla ojczyzny i dla nauki było treścią wszystkich jego postępków. I nie strąciły go z téj drogi ani gorycze więzienia, ani niedostatek, ani kalectwo, którém podobało się Bogu dotknąć go pod koniec życia.

Przez cały ten zawód ziemski przeszedł śp. Karol bez skazy — z chwałą dla siebie i dla społeczeństwa naszego, że jeszcze takich ludzi wydaje. . . .

Im bardziéj życie takiego męża było z téj strony grobu wzorem do naśladowania przez wszystkich, tém więcéj za obowiązek publiczny poczytywać sobie należy, żeby pamięć takiéj cnoty żyła i w potomności. Naród nasz w najlepszych swoich czasach umiał cenić każdą prawdziwą zasługę. Okażmy, że i dzisiejsze pokolenie nie odbiegło od tego chlubnego przekazu przodków!

W poczuciu tego obowiązku i w przekonaniu, że słowa nasze się okażą wyrazem uczuć powszechnych, my podpisani pod odezwą niniejszą, zawiązawszy się w komitet i powziąwszy zamiar wprowadzenia w życie instytucyi, którą uważamy za najgodniejszy pomnik zmarłego brata naszego: wzywamy ziomków do poparcia myśli naszéj darami, których rozmiar zostawiamy chęci i możności każdego, oświadczając, że przyjmiemy z wdzięcznością i najskromniejszy datek. Chodzi o zebranie funduszu, mającego pod zarządem Wydziału krajowego na wieczne czasy trwać z nazwą „Fundacyi śp. Karola Szajnochy“. Użytkować mają z corocznych prowizyj rzeczonego funduszu osoby, które pracując wytrwale na niwie ojczystéj literatury z chwałą dla siebie, a z pożytkiem dla narodu, w braku środków przyzwoitego utrzymania z własnych zasobów, ujrzą się w konieczności korzystania ze skarbnicy téj szczodrobliwości publicznéj. Przedewszystkiém zaś i nasamprzód ma z niéj korzystać pozostała rodzina śp. Karola, to jest syn jego obecnie dziesięcioletni i wdowa — a to przez cały czas, dopóki im ta opieka kraju będzie potrzebna. Bliższe określenie zasad i warunków téj fundacyi tak względnie do rodziny zmarłego, jak i do innych na późniéj osób, orzecze akt fundacyjny, który ułożyć zastrzega sobie komitet w miarę kwoty, jaka się zbierze.

Gdyby śp. Karol Szajnocha był się poświęcił innemu zawodowi: wątpliwości nie podlega, że zdolność, pracowitość, statek i inne cenne przymioty, w które go tak sowicie uposażyła natura, byłyby mu prędzéj czy późniéj zdobyły stanowisko niepoślednie i pod względem materjalnych korzyści. Zmarły nasz przeniósł nad wszystkie inne zawody skromne powołanie pisarza. Byłoby wstydem dla społeczeństwa naszego, gdyby teraz mógł kto powiedzieć: oto dlatego, iż życie Karola spłynęło na bezpośredniéj służbie około sprawy powszechnéj, widzi się obecnie osierocona rodzina jego zagrożoną niedostatkiem....

I skąd inąd potrzeba fundacyi, o jakiéj tu mówimy, dotkliwie w kraju naszym czuć się daje od dawna. W tak niefortunnych okolicznościach, jak nasze, praca umysłowa i piśmiennicza nie uchyla od powołania literackiego tych trosk codziennych, które zdolne są skrzywić i złamać nawet wyższe zyolności. Jeżeli na rzecz stypendjów dla uczącéj się młodzieży i na inne dobroczynne cele tyle już uczyniono w Galicyi: to dlaczegóżby tylko w kierunku, który tu wskazujemy, nic kraj i nadal nie miał uczynić? Literatura stanowi jednę z najpotężniejszych dźwigni życia narodowego. Jeżeli co, to ta sprawa domaga się koniecznie opieki kraju.

Będziemy przyjmowali dary tak w gotowiźnie, jak w papierach publicznych. Prosimy adresować przesyłki do rąk Wgo Szymona Krawczykiewicza, Dyrektora galicyjskiéj Kasy Oszczędności we Lwowie, który raczył oświadczyć gotowość swoję do odbierania takowych. Również upoważniamy Redakcje wszystkich dzienników naszych do przyjmowania składek i przekazywania ich potém Wmu Krawczykiewiczowi. Równocześnie z tém upoważnieniem zanosimy prośbę do rzeczonych Redakcyj, ażeby w kolumnach pism swoich raczyły powtórzyć niniejszą odezwę naszą, jakoteż sprawozdania z dalszego toku i każdoczesnego stanu téj składki, które zamierzamy od czasu do czasu wraz z szczegółowém wymienieniem nazwisk osób i wysokości kwot wniesionych podawać do wiadomości publicznéj, i ażeby popierały wpływem swoim sprawę, któréj rzecznikami jesteśmy.

Lwów dnia 14 Stycznia 1868. *Leon Sapicha, Włodzimierz hr. Dzieduszycki, Oktaw. Pietruski, August Bielowski, Antoni Małecki.* — Jako czł. zamiejscowi przystąpili do Komitetu: *Adam hr. Potocki, Dr. Józef Majer*, Prezes Tow. Nauk. w Krakowie. — Sekretarz *Bernard Kalicki.*

Czyniąc zadosyć wezwaniu, ofiarujemy z całego serca pośrednictwo nasze w przesyłce składek na tak szlachetny cel. — Redakcja.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **mody**.

Pogadanki domowe.

PRZEZ

Paulinę Wilkońską.

(Ciąg dalszy.)

Gospodyni domu w przyjęciu gości najważniejszą jest stroną. Jéj uprzejmość i szczery wyraz ciepłem obejmuje przybyłych.

Poczęstne niechaj będzie: co dom ma! Byle przyrządzone dobrze — i podane zalecająco dla oka.

Krzątanina sług — szepty do ucha pani — jéj wybiegania — jakiś niby ambaras domowy — są wielce nieprzyjemne dla gości, którzy wtedy siedzą jakby na szpilkach. Rozmowa przytém stygnie, pan domu kręci się niespokojnie na krześle — wszyscy się nudzą... i goście radzi, gdy z bramy dziedzińca wyjadą.

A czemuż to przy ładzie i dobréj chęci nie uprzyjemnić sobie nawzajem chwili towarzyskiéj, gdy to w naszéj jest mocy i z łatwością przychodzi? Chodziło może o jakąś wykwintniejszą potrawę, o coś, czego nie dostawało w spiżarni, z czém nie obliczyła się pani domu — albo... albo... Pani pogniewała się na sługi — złorzeczyła w duchu gościom, że nie w porę przybyli — a małżonek pocił się, rzucał chmurne za żoną spojrzenia, a potém czynił jéj wymówki.... I na domiar złego, małżeńska zrodzi się kłótnia.

Podaj gościowi misę kaszy i ziemniaków — ale z okrasą pogodnego wyrazu i przyjaznego uśmiechu — a poczęstujesz go dobrze.

Przybycie gościa nie powinno domowego wywołać zamętu — niesnasek — i jakichsi zbytecznych wysiłków. Ale raczéj przyjemną, pogodną, w gronie towarzyskiém zwiastować chwilę.

Gdy gość, zwłaszcza na czas dłuższy do domu zawita, nie powinna nas obecność jego od naszych zwykłych, codziennych oderwać zatrudnień. Nikt téż tego nie wymaga, a raczéj nużącém staje się, gdy gospodarstwo niewolniczo asystują ciągle gościowi. Zostawiając sobie nawzajem swobodę i dowolne rozporządzanie czasem, obiedwom stronom najlepiéj się dogodzi. Do gospodyni domu należy przestrzeganie, ażeby gość miał wszystkie potrzebne wygody — a w tém nie zawsze li tylko na służbę spuszczać się można.

Kto rad gościowi, powinien i o służbie jego pamiętać. Niechaj i człowiek i koń znajdzie wygodę — boć i sługa gościa, jest gościem. — Francuzi mówią: „Kto mnie kocha, ten i psa mojego kocha“. — A wielka jest prawda w tém wyrzeczeniu.

Bez wymagań i wysileń, po sąsiedzku, po staropolsku gościnnie, a szczerze — otóż i sprawdzi się dawne: Gość w dom, Bóg w dom.

(Ciąg d. n).

FANTAZJA.

I.

Dziki, poniosłem ją w Alpy na szczyty —
Jak dziecię w śnieżne ubrałem całuny,
Potem strąciłem w Lemanu błękity,
Do wodnéj truny.

Mewy pokładły się u truny wieka,
Jak wieńce z lilij, albo pereł sznury,
I popłynęły z nią gdzie siódma rzeka,
Za siódme góry.

Mój okręt „Orzeł“ ku przeciwnéj stronie,
Jakby oszalał współczuciem, ucieka;
Bo na pokładzie byłem po jéj zgonie,
Jak cień człowieka.

Zostały przy mnie dzwonki z ponad brzegu,
I przyniesione z gór alpejskie róże,
Wśród nich szaroty, niby płatki śniegu;..
Reszta — w lazurze.

Prędzéj, o prędzéj do domu z powrotem,
Krew w oczy zbiega, śmiech mi krzywi wargi —
Co się tu stało... chcę zapomnieć o tém,
I koniec skargi.

Lausanne.

II.

Czyli z mew miała i łódkę i wiosła,
Jakiż jéj anioł niewidzialny broni?
Że jakby Nimfa wypłynęła z toni,
Potem ją ciżba jaskółek poniosła'...

I znowu dla mnie wschodzi jak jutrzenka —
Czy zmartwychwstała, czyli odrodzona,
Czy to złudzenie, czyli sama ona,
Królowa moja i moja panienka?...

O ptaszko złota — dzięki tobie dzięki.
Żeś nie umarła tam w dalekiéj ziemi.
Żeś nie została z kwiaty podwodnemi,
Taką ponosząc zimną śmierć z méj ręki.

„Nie mogłam zasnąć tam na dnie jeziora,
„Ani w podwodne ustroić się kwiaty,

„Z niebieskich fali mieć płynące szaty,
„I już tak zostać bez jutra i wczora.

„Bo wszakże wszędzie masz mnie z sobą, w sobie,
„I duszę twoją dałeś mi w ofierze;
„Więc mnie od zguby twój stróż anioł strzeże,
„Bezemnie byłbyś, jak pomnik na grobie.

„Nie targaj próżno twojéj duszy białéj,
„Ani przeklinaj brzemię rajskich złudzeń —
„Szczęśliwy, kogo z przepaści, z utrudzeń —
„Słoneczne zawsze dźwigną ideały.

„Świętości swoich chroń, zażegnaj smutki —
„Jako światełko zbłąkanego w lesie,
„Wieczornéj gwiazdy promień cię poniesie,
„Drogą kwitnącą w jasne niezabudki“.

alf.

SYRENA.

(POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA.)

(Ciąg dalszy.)

Pułkownik wstał i żywo przechadzał się po salonie.

Jak się to wszystko skończy — nie wiem; ale to wiem, że zrzec się ciebie nie mogę. Potargam związki krwi, względy światowe.

I podepczesz moją dobrą sławę — dokończyła Irreoltema. Czy to ma mi zapewnić szczęście, którego z twoim bratem nie znalazłam? O pułkowniku — ty kochasz tylko siebie.

— Więc mamże sobie powiedzieć: „nigdy“?

— Czekaj i wierz, jak ja.

— I umrzeć z tą wiarą. —

— On chory... szepnęła półgłosem odwracając się od niego. Słowa te rozeszły się po sali jak ciepły oddech zarazy, którą niesie z sobą grobowe milczenie. Pan pułkownik uczuł, że mu się duszno zrobiło w atmosferze tych słów, choć one zwiastowały mu szczęście. Szczęście jego i miłość wydały mu się w téj chwili jak robactwo, co się z trupów wylęga i trupami żywi. Irreoltema sama zlękła się ciemnéj, grobowéj przepaści, jaką jéj słowa otworzyły przed jéj nogami — a bardziéj jeszcze tego, że temi słowami zdemaskowała przed nim zbrodnicze tajemnice i nadzieje swéj duszy — usiłowała naprawić to — załamała ręce i zawołała:

— Boże, com ja wyrzekła! Do jakich zbrodniczych myśli wiedzie mnie ta miłość.

— Nie odwołuj tych słów — rzekł Maurycy biorąc ją za rękę — są obrzydliwe, jak zgniły owoc, ale w nich chowa się nasienie naszéj przyszłości. Kąsając wędzidło konieczności, będę czekać, karmiąc się temi słowami.

— Przedewszystkiem potrzeba, abyś jak najrzadziéj tu bywał, abyśmy już nigdy więcéj nie zostali ze sobą, jak teraz. Stanowczo nie, — rozumiesz?

— Będę ci posłuszny. Ale te chwile jeszcze do mnie należą.

— Czy nie widziałeś śladów nóg jego pod oknami sali? Patrz! on tu był wczoraj — albo on, albo ktoś przez niego nasłany. Potrzeba nam mieć się na ostrożności. Dziś wieczór będziesz chory i nie wyjdziesz do sali — rozumiesz. Musimy odsunąć wszelkie podejrzenie.

— O! nie uwierzysz, jak mi to będzie trudno być tak blisko ciebie i nie widzieć cię.

— Zobaczysz mnie w dzień znowu — rzekła, podając mu dłoń z wdzięcznym uśmiechem.

Tego wieczora pułkownik rzeczywiście został w swoim pokoju. Irreoltema również nie wychodziła ze swego. W sali jadalnéj więc było pusto — od czasu do czasu tylko Antoni się zjawiał, dobywając z kredensu talerzy. Stary służący miał skłonność do monologów, taka gawęda ze sobą samym zastępowała mu poniekąd towarzystwo ludzkie.

— On osobno, ona osobno — mruczał stawiając szklanki na tacy — ztąd tylko mitręga większa. Człowiek się przecie rozerwać nie może. Czy się gniewają, czy co? może pani zła za stłuczone saskie filiżanki — ona się w nich kochała, a tu pułkow... a to co?

Urwał rozmowę i spojrzał w okno.

— Wszelki duch. —

Na ciemném tle szyb zdawało się Antoniemu, że zobaczył jakąś twarz bladą, ale wyraźnie. Ledwie bowiem miał czas spojrzeć, gdy zjawisko znikło. Antoni stanął i nasłuchiwał — postąpił ku oknu, przyłożył rękę do szyby, do czoła, zasłaniając w ten sposób oczy od światła lampy i wpatrywał się w ciemności. Zdawało mu się, że za altaną w topolowéj alei coś się czerniło, ale nie był pewny, czy to pień drzewa, czy człowiek. Przypomniał sobie to, co mu pani rano mówiła o stopach ludzkich pod oknami.

— W tém jest coś nieczystego — rzekł znowu do siebie. Ale czemuż psy takie spokojne, czyby je kto potruł; bo oni i to umieją. Trzeba wyjść — pójdę — zobaczę — przekonam się.

Chciał odejść, gdy spojrzał na czajnik i szklanki przygotowane.

— Masz tobie — a herbata? — Więc po herbacie pójdziemy śledzić ptaszka.

To rzekłszy wyszedł do dalszych pokojów. Po chwili na szybach okna zabieliła się znowu taż sama twarz — i znowu skryła się w ciemnościach. Zmarznięty śnieg zaskrzypiał — jakiś cień czarny zarysował się na ścieżce ogrodu — znikł za altaną i znowu

się cofnął w aleję topolową. Uschłe wysokie gałęzie topoli chwiały się i szeleściały szamotane silnym wiatrem, przez szczeliny przelatujących chmur błyśnie czasami na chwilę światło księżyca, wpada w aleję niby duch biały w długiéj szacie i znika. W tém niepewném półświetle widać za jedném drzewem człowieka, który z założonemi rękami stał i miał oczy wytężone w stronę pałacu, ku oświeconym oknom. Był to Edward. Podejrzenia skłoniły go do téj włóczęgi nocnéj; zdawało mu się, że tą drogą rozstrzygnie niepewność trawiącą jego duszę, że pozornym wyjazdem oszuka czujność kochanków. Wstydził się téj roli, jaką wziął na siebie, nie chciał, aby ktokolwiek domyślił się tego, nawet woźnica. Kazał mu więc zajechać przed dom leśniczego, tam napisał list i wysłał go z nim na stacją kolei, rozkazując mu czekać na jakiegoś pana, który miał nadjechać pociągiem z Warszawy.

Ja rozmyśliłem się, nie pojadę i wrócę końmi leśniczego. Ty czekaj z listem dwa lub trzy dni: jeżeli ten pan nie nadjedzie — wracaj. Przed leśniczym zaś zamaskował swój pobyt w jego domu tém, że doktorzy zalecili mu ruch, chce więc zapolować w tych stronach i zabawi tu dni parę. Obrał sobie na mieszkanie małą izdebkę od strony lasu i udając zmęczenie, pożegnał wcześnie gospodarza. Nie spał jednak. Przez okno wysunął się cichaczem na pole i w godzinę potem był już pod oknami pałacu. Plan jego zdawał mu się doskonały. Widzieliśmy, jak instynkt i przebiegłość kobiety umiały go przeczuć i udaremnić. Marznąc pod oknami nie usłyszał nic, prócz obojętnéj rozmowy, po któréj rozmawiający rozeszli się. To go uspokoiło, chciał już nawet wejść do żony, rzucić jéj się do nóg i przeprosić za podejrzenia. Ale podejrzliwość radziła mu czekać jeszcze. Wrócił więc na leśniczówkę tą samą drogą, którą się był wymknął i położył się w łóżko. Resztę nocy przebył okropnie; silna gorączka wskutek przeziębienia męczyła go widzeniami pełnemi dziwolągów, krwawych scen i fantastycznych karykatur. Podejrzenia jego upostaciowała chorobliwa fantazja w jakieś gady niedźwiadki, polipy, które żonę jego i brata i jego samego obejmowały w duszące uściski, cięły w kawały nożycami, pełzały po nich — i utworzyła się z tego jakaś straszna mięszanina kawałków ciał tarzających się w prochu, wśród obrzydliwych stworzeń, szukających się nawzajem — a jego głowa okręcona splotem wężów, podskakiwała co chwila i śledziła zakrwawionemi oczami, w którą stronę poruszają się członki jego żony, które poznawał po śnieżystéj białości — z kim się zrosną — z nim, czy z jego bratem, szukał jéj twarzy, jego oczów, w którą stronę się zwracają. Dojrzał ją, twarz ta z wysileniem pełzała ku niemu, wykrzywiała się w dziwnych grymasach, pozieleniała i przedłużyła się w głowę węża, który otworzył pysk i jadem nań bryzgał. Gadzina ta jadowita miała czarne, węgielne oczy jego żony. Wzdrygnął się i krzyknął. Bielejący ranek uwolnił go od tych męczących półsnów, ale nie polepszył jego zdrowia. Był osłabionym, rozstrojonym, w głowie czuł jakiś zamęt i ciśnienie, które ztępiło jego myślenie. Na twarzy był mocno zmieniony. Leśniczy przestraszył się stanem jego zdrowia — chciał posłać do dworu z uwiadomieniem — zabronił.

— Nie potrzeba, rzekł — niepokoić żony mojéj — jest to chwilowy atak, który przejdzie.

Rzeczywiście pod wieczór było mu lepiej; zazdrość jak każda namiętność daje sztuczną siłę, elektryzuje najsłabszy organizm. Tą siłą podtrzymywany wyczekiwał niecierpliwie wieczora, co chwila spoglądał na zegarek, nasłuchiwał, czy w domku leśniczego uspokoiło się wszystko. Godziny wlekły się powoli, ślimaczo w drugiéj izbie nie spano jeszcze. Edward dla skrócenia czasu wziął jakąś starą książkę ze szafki, przewrócił kartki, trafił przypadkiem na jakąś starą niemiecką balladę. Z początku czytał ją obojętnie, machinalnie — uderzyło go jednak kilka porównań, treść ballady była jakby zwierciadłem jego życia. Przysiadł się i z zajęciem czytał następującą balladę.

Dwaj Bracia.

I.

W księżycową noc lutnista młody
Wyszedł z domku swego i siadł w borze,
Westchnął, zagrał — i wody w jeziorze
Podniosły się z westchnieniem — a z wody
Wyszła w blaski księżyca ubrana
Rusałeczka lekka do młodziana —
W kwiaty strojna — i jakby powoje
Ramionami spletli się oboje.

Księżyc na nich patrzał się przez liście,
I zazdrościł młodemu lutniście —
„Moja luba“ — szeptał młodzian drżący,
Czemu patrzysz się tak w kwiat ten śpiący
U nóg twoich? Zdeptaj go nogami,
Bo mi zazdrość zmarszczką czoło orze,
Że ty kwiat ten bardziéj kochasz może
Niż mnie. Zdeptaj, luba, kwiat nogami —
Rusałka się z lutnisty rozśmiała —
Kwiat zdeptała — ani nań spojrzała.

„Moja luba“ — szeptał znów słowami
Miłosnemi — „czemu w twarz księżyca
Tak się patrzysz? On ci siadł na lica,
I całuje usta promieniami.
Nie patrz luba w niebiosów kobierce,
Nie patrz w księżyc, bo mi pęknie serce
Od zazdrości. Zasłoń cieniem siebie,
Niech ten księżyc nie patrzy na ciebie“.

Rusałeczka się z lutnisty śmiała —
Twarz schyliła — w księżyc nie patrzała.

„Moja luba“ — znowu zaszeptały
Jego usta — czemu twoje oczy
Zapatrzyły się tak w piersi białéj?
Zasłoń, zasłoń szatą gors uroczy,
Bo mnie zazdrość spali, że ty może
W téj urodzie cudnéj, w twym ubiorze —
Bardziéj niźli we mnie zakochana.
A Rusałka z zazdrości się śmiała,
Obróciła oczy na młodziana,
I miłośnie w oczy mu patrzała.
On ją chwycił za rękę, za białą —
Drżał, bo w piersiach jego szczęście grało.
Ale księżyc, co skrył w chmurach głowę,
I zdeptane nogą kwiatu liście,
I wzgardzone piersi lilijowe
Przysięgały mścić się na lutniście.

II.

Znów noc jasna — brat lutnisty młody
Chodząc z pieśnią wesołą po borze,
Przyszedł zwolna nad jeziora wody.
Cicho plusły wody na jeziorze —
Wypłynęła Rusałeczka blada,
I słuchała jego pieśni rada!

A zdeptany kwiat na srebrnych rosach,
I płynący księżyc po niebiosach,
Cichym szeptem Rusałkę kusiły:
„Patrz, ten taki ładny, taki miły —
Kochaj, kochaj“ — szeptały do ucha.
Rusałeczka zamyślona słucha,
Żal tamtego było jeszcze trocha,
Bo myślała sobie — „on mnie kocha“ —
Wysunęły się piersi łabędzie,
I szeptały: I ten kochać będzie.
Więc Rusałka wyszła do młodziana,
Cała w blaski i w kwiaty ubrana.
Księżyc zajrzał w dom lutnisty zcicha,
Podejrzeniem w okno zaszeleści —
— Gdzie brat? Może Rosałeczkę pieści....

On się zerwał — pobiegł. Nad jeziorem
Słyszał śmiechy, szepty pod jaworem.
Zżółkł, zkamieniał — z rozpaczy oniemiał —
Ale w oczach łez dla bólu nie miał.
Potem poszedł w las, gdzie było gęściéj —
Siadł przy drodze i czekał na brata.
Ostry sztylet ściskał mocno w pięści —
Czekał, słuchał — chwile szły jak lata.

I zdeptany przyszedł k'niemu kwiat —
Szepnął w ucho: wszakże to twój brat,
I drugiego już nie będziesz miał,
Choćbyś płacił krwią, choćbyś łzy lał.

Słuchał — łzami zalał się rzewnemi —
Księżyc z za chmur wysunął się prawie:
Sztylet błysnął — coś jęknęło w trawie,
Coś czerwoną krwią polało ziemię.

A lutnisty brat z Rusałką młodą
Śmiejący się siedzieli nad wodą,
I zdeptany kwiat i księżyc biały,
I drzew liście z lutnisty się śmiały.

Edward skończył czytać — oparł czoło rozpalone na ręce i utopił oczy w płomieniu świecy.

— Kto mi podsunął tę balladę — i to teraz właśnie. Kto? człowiek, czy przypadek? Głupia ballada — rzekł i rzucił książkę na ziemię. Wstał i chodził koło stołu.

— Wszakże to twój brat
I drugiego już nie będziesz miał.

Stanął i patrzał na książkę leżącą pod jego nogami. Naraz ocknął się, spojrzał z pośpiechem na zegarek, wdział futerko — i otworzył z cicha okno. Nie wyszedł jednak zaraz, chwilkę zawachał się, namyślał nad czémś — wrócił się, rozpiął korzuszek, wydobył z za pasa pistolet, położył go na stole i wyskoczył oknem.

Widzieliśmy, jaki był skutek téj drugiéj wycieczki nocnéj. Naprożno po kilka razy zbliżał się pod okna jadalnéj sali — nie zobaczył w niéj nikogo. Gubił się w domysłach, co się stać mogło.

Podsunął się pod okna żony, ale story tak szczelnie je zasłaniały, że nie podobna było nic a nic zobaczyć, cofnął się więc w aleję — i czekał. Wtém zobaczył od strony pałacu kilku ludzi idących wprost ku niemu. Nie wiedział co począć ze sobą, namyślał się chwilę — potém chyłkiem przesunął się przez aleję i zasłonięty krzakami, schował się za altanę. — Tu ukryty usłyszał następujące słowa:

— Zajdźcie od sztachet drogę — obstawcie dobrze przejście i potém zróbcie obławę przez cały ogród. — Był to głos Antoniego.

— Obława na mnie, w moim własnym ogrodzie — pomyślał Edward. — Gdyby mnie znaleziono — o ucieczce już ani myśleć.

Zadrżał na tę myśl, postanowił uniknąć skandalu jakim bądź kosztem. — Służący zbliżał się ku altanie — Edward wyszedł na ścieszkę i zastąpił mu drogę.

— Na rat...

— Cicho, to ja, twój pan.

Antoni osłupiał i zdumiony patrzał na pana.

— Cofnij tę głupią obławę — a potém przyjdź tutaj — czekam cię w altanie.

To rzekłszy, schował się. Zostawszy sam ze sobą, uczuł się upokorzonym tą rolą, jaką odegrał przed chwilą wobec sługi. Co mu powiedzieć — jak wytłomaczyć to niespodziewane zjawienie się nocą w ogrodzie?

Za chwilę wrócił Antoni — stanął u wejścia altany i w milczeniu oczekiwał, co mu pan powie. Edward nie wiedział jak zacząć.

— Dla czego — odezwał się wreszcie — w jadalnéj sali nie ma nikogo?

— Pan pułkownik podobno słaby, a pani kazała sobie podać herbatę do swojego pokoju.

— Czy widziałeś pana pułkownika w gościnnym pokoju?

— Przed godziną.

— A teraz?

— Mowił, że wcześniéj się spać położył; więc nie poszedłem.

Edward ruszył się z miejsca, chwycił służącego za rękę i nachylając się ku niemu, usiłował w ciemnościach rozpoznać wyraz jego twarzy.

— Stary, ty wiesz coś?

— Co takiego?

Pytanie opamiętało zazdrosnego.

— Antoni — rzekł spokojniejszym głosem — byłeś mi wiernym dotąd, umiéj być i milczącym. O tém coś widział i słyszał ani słowa przed nikim — rozumiesz? Czy byłeś potem w pokoju mojéj żony?

— Nie kazała mi wracać więcéj.

— A zastawa do herbaty?

— Kazała mi ją zabrać jutro.

— Jutro? W tém coś jest. — Idź teraz, ja ci każę — idź wprost.

— Ależ pani zakazała.

— To nic.

— Zamknięte może.

— Prawda. — Słuchaj, weź ten klucz, jest on od drzwi prowadzących z mego pokoju do wązkiéj sionki. Na odwrotnéj ścianie namacasz drzwi drugie nie zamknięte, prowadzące do staréj biblioteczki, która dotyka do pokoju pani. W kaflowym piecu jest w różne floresy wyrabiany otwór, przez który można zajrzeć do drugiego pokoju — rozumiesz. Idź, tylko ostrożnie, lada nieostrożne stąpnięcie, stuknięcie może cię zdradzić. Potrzeba być zręcznym i cichym. Idź i zobacz — ja tu czekam na ciebie.

Antoni wziął klucz i wyszedł z altany.

Edward rzucił się na kanapkę.

— Przed służącym odkrywać to, czego ja sam radbym nie widzieć — no to podle z méj strony. Ale darmo — ja potrzebuję czyjéjś pomocy — sam nie mogę podołać. Jeżeli podejrzenia moje pokażą się niesłuszne, pieniądzmi kupię jego milczenie i odprawię — tak odprawię — nie mógłbym mu w oczy patrzeć, a ona nie mogłaby mu rozkazywać.

Wstał, wyszedł przed altanę — patrzał i nasłuchiwał. Przy pospiesznem biciu jego serca czas wlókł się za powoli — leniwo. Antoni nie wracał.

(Ciąg dal. n.)

O obłędach pospólnych

według publicznego odczytu

Dr. Oettingera.

Zdrowie zawisło częścią od warunków niezbędnych, jakich surowych dostarcza wprost przyroda: należą tu przedewszystkiem części i własności naszego ustroju cielesnego, tudzież nieodzowne jego potrzeby, jak powietrze, pokarmy i t. d.; częścią od świadomego i stósownego spółdziałania ludzkiego już poszczególnego, już społecznego: tam przez pracę własną i pomoc rodziny, tu przez urządzenia i zakłady publiczne.

Jak od odpowiedniego tych wszystkich warunków skojarzenia zależy zdrowie, tak ich brak lub niewłaściwe zastósowanie rodzi chorobę: pojedynczą, gdy wzmiankowane przyczyny dotkną ludzi zosobna; pospólną, gdy ogarną naraz znaczniejszą ich liczbę. I jedna i druga nazywa się obłędem, gdy objawi się głównie wybitnem zboczeniem w zakresie czynności umysłowych.

Ale i pośród tych niezliczonych stopni dzielności umysłowéj, jakie okazują ludzie, począwszy od jasnych szczytów gienialnéj twórczości aż do ciemnéj otchłani zwierzęcego zdziczenia lub co gorsza — bezwładnego życia roślinnego, gdzie ustaje zdrowie a gdzie poczyna się choroba, czyli gdzie znajduje się granica obłędu? Zapewne, jak wszędzie w przyrodzie, tak i tutaj ostateczne różnice są niemniéj ogromne, jak kolejne przejścia nieznaczne. Wszelako, gdy nam tu nie chodzi o rozróżnienie subtelne lecz o wybitne znamiona rozeznawcze, to odpowiedź będzie mniéj trudna i dość stanowcza.

Owoż do cech istotnego obłędu zaliczamy:

1) Obok trwałego zboczenia w zjawiskach umysłowych koniecznie i bezwarunkowo także zboczenie w ustroju cielesnym. Na tę zasadę zgodzić się w końcu muszą najskrajniejsze, a skąd inąd najsprzeczniejsze z sobą obozy spirytualistów i materjalistów. Bo upośledzenie umysłowe wobec wiary w samoistnego i doskonałego przez się ducha, nie da się pojąć inaczéj, jedno przez pośrednictwo cielesnego ustroju, będącego narzędziem powolnem tamtego, tracącem zdolność do téj posługi w miarę swego uszkodzenia tak samo, jak najdosko-

nalszemu skrzypkowi na potarganych strunach nie podobna odegrać swych cudnych utworów.

2) Cechą obłędu, powziętą już z zakresu objawów umyslowych, jest brak świadoméj woli. Główném znamieniem uzacnienia ludzkiego, jest zmierzanie do wyższych, samodzielnie wytykanych sobie celów za pomocą świadomie dobieranych środków. Władza ta w swém udoskonałeniu jest istotną wewnętrzną wolnością tak różną od samowoli i swawoli, jak różną jest korona męczeńska od nęcącéj chwilowo zmysły błyskotki dziecęcéj. Bo polega ona nie na działaniu przypadkowém, zmienném, uginającego się za lada obcym powiewem kaprysu, lecz na niewzruszoném przekonaniu i postanowieniu, na wytrwałém wypełnianiu choćby z poświęceniem dobrowolnie przyjętego obowiązku. Wolność prawdziwa, któréj nie można w darze od zewnątrz, lecz któréj dorabiać się także potrzeba usilną wewnętrzną pracą, powoduje się jedynie nałożoném sobie dobrowolnie prawem, zniewalającém nie przez przymus materjalny, lecz przez konieczność wewnętrzną; wiedziona światłem jasnego przeświadczenia, kroczy po wytkniętéj sobie drodze do wyższego celu z silném postanowieniem i niewzruszoną odwagą i zdobywa nieugięta albo wawrzyn zwycięztwa, albo przyduszona przemocą, lecz nie złamana w duchu, palmę męczeńską. Tylko o mężu prawdziwie wolnym mógł powiedzieć Horacy: „że śród gruzów zapadającego się świata pozostanie nieustraszonym“. Że to wewnętrzne własne powściąganie swéj woli jest niezbędnem znamieniem prawdziwéj wolności, wyraża to trafnie w mowie naszéj, w mowie narodu wolność kochającego, przysłówek wolno w znaczeniu godzi się, bo zgodne z prawdziwą wolnością jest tylko to, co się godzi, co zacności wolnego człowieka odpowiada, co mu zatém czynić wolno.

Brak atoli téj szczupłéj wolności, będącéj udziałem nie wielu wybrańców, a któréj osiągnienie i rozpowszechnienie jako ideału powinno być celem dobrego wychowania, brak mówię téj wolności nie stanowi jeszcze choroby, obłędu. Bo jak w życiu potoczném przez zdrowie cielesne rozumiemy nie zdrowie doskonałe, idealne lecz względne, przy którém główne sprawy ustroju odbywają się bez widocznéj przeszkody, tak samo za choroby umysłowe poczytywać należy jedynie zboczenia od objawów względnie prawidlowych, tj. takich, które zostają pod wpływem świadoméj woli nie koniecznie wysoce udoskonalonéj lecz zdolnéj do wytykania sobie celów powszednich i wybierania środków właściwych do ich dopięcia. — I w tym szczuplejszym zakresie zdrowia względnego liczne napotykamy stopnie przejścia od swobodnéj woli do całkowitéj onéj zatraty.

Do wpływów szkodliwych, które mimo woli i wiedzy mniéj lub więcéj upośledzają swobodne działanie, należą pomijając przyczyny wprost cielesne jak np. obrażenia, napoje i istoty odurzające i t. d., a biorąc na uwagę tylko podniety umysłowe: różne skłonności, nałogi, namiętności, silne wzruszenia i t. d. Skłonność nagina już wolą ku pewnemu kierunkowi, nałóg czyni to w stopniu jeszcze wyższym, a w namiętności zwłaszcza gwałtownéj, już wola świadoma chwilowo jest całkiem przytłumiona. Słusznie też greckie przysłowie powiada: „pijaństwo jest krótkiem szaleństwem“. — Owoż co tu pojawia się chwilowo, w obłędzie jest trwałém, świadoma wola nie pośredniczy więcéj między uczuciem a działaniem, a czynności wszelkie odbywają się mimowolnie wywolywane niepohamowanym ślepym popędem.

Brak więc trwałéj świadoméj woli będącéj skutkiem cielesnego zboczenia ustroju, stanowi zasadnicze znamię obłędu, którego trzymać się ściśle należy, by zpośród mnogich wybryków umysłowych nie uważać za chorobę, tj. za cierpienie istotne, co jest zboczeniem całkiem innego rodzaju, np. słabością moralną, zwichniętém wychowaniem, znarowionym rozumem, przesądem i t. p.

Jeżeli pominiemy liczne obłędy, będące skutkiem bezpośrednim uszkodzeń cielesnych i wpływów jedynie fizycznych, ktore jak dotąd nie występowały pospólnie, tj. nie ogarniały naraz wielkiéj liczby ludności lecz raczéj pojawiały się i pojawiają pojedyńczo, a zwrócimy uwagę naszą jedynie na owe postacie, na które wpłynęły początkowo podniety umysłowe, to wnet spostrzeżemy, że w życiu pojedyńczego człowieka w dziecięctwie, a w dziejach ludzkości w starożytności obłędy z tego źródła pochodzące, nie znachodzą się prawie wcale. — Jakoż u dzieci i w starożytności czynności umysłowe budzą się i rozwijać zaczynają, lecz przewagę ma życie zmysłowe. Wrażenia w tym okresie są żywe, a szybko przemijają; prostota i niewinność nie narażają na trudne zapasy wewnętrzne z silnemi namiętnościami i zwodniczemi pokusami; potrzeby mniejsze i skromniejsze, latwiejsze znajdując zaspokojenie, nie wywołują tylu spaczonych żądz, do których wraz z szerszém i rozmaitszém życiem społeczném dają powód wygórowane wymagania zbytku, próżności i liczne ambicje. W téj jutrzence życia gwałtowne nawet wzruszenia wybuchają silnie wprawdzie, lecz wynurzywszy się, prędko ostygają, nie wywołując trwałych zaburzeń umysłowych. Nie przechowały nam też dzieje lekarskie pamiętnego przykładu choroby umysłowéj pospólnéj z owéj starożytnéj epoki. Jako zboczenia w téj dziedzinie nie dochodzące atoli do stopnia istotnéj niemocy, przytoczyćby się dały.

Pląsy bakchanalskie wykonywane przez niewiasty greckie i rzymskie, gdy takowe ogarnięte, dzikim rozpasanym szałem z włosami rozpuszczonemi, uwieńczone bluszczem i winném liściem, z błędnie kołującemi oczyma, z zapienionemi usty, wywijając tyrsa-

mi, śród odgłosu bębenków, piszczałek i blaszanych grzechotek swawolne publiczne wyprawiały harce, wykrzykując „Evvi Bakche“!

Innego rodzaju spaczeniem umysłu, które owładnęło ludźmi gromadnie, był Abderytyzm. Była to pewna kołowaaizna, która miała być spólną mieszkańcom starożytnego miasta Abdery. — Abdera była — lecz na wyższą daleko skalę — starożytnym Pacanowem, gdzie kują kozy i gdzie za jedynego ślusarza winnego, wieszają kowala niewinnego, mając w zapasie jeszcze drugiego. Poczciwi owi mieszczanie greccy mieli talent szczególny do głupstwa. Porywali się na dzieła najśmielsze i największe, czyto w zakresie gospodarstwa publicznego, czy też w naukach i sztukach, miewali szczytne pomysły, szlachetne uniesienia, przenikliwe poglądy, przewidywali i obliczali najdrobniejsze okoliczności, lecz na nieszczęście o jednéj tylko zapominali rzeczy — o głównym celu lub stosownéj porze.

Stawiali np. dla ozdoby miasta wspaniałe fontanny nie mając wody; cudny posążek Wenery misterne dzieło dłuta Praksytelowego dla lepszego i rozleglejszego widoku umieścili na olbrzymim obelisku; o ważny spór sądowy: czy najmującemu osła do przejażdżki służyło także prawo przespania się w południe w jego cieniu? całe miasto biorąc udział w téj sprawie, popadło w zapalczywe rozdwojenie na obozy osłowców i cieniowców; ziomka swego, słynnego filozofa Demokryta, który się wyjątkowo odróżniał od nich głębokim rozumem i ich niedorzeczności wyśmiewał, mienili obłąkanym i dla wyleczenia go, sprowadzili wielkiego lekarza Hipokrata. Aliści tenże tylko tego mniemanego chorego samego zastał przy zdrowych zmysłach, jego spółmieszkańcom zaś poradził, aby zaopatrzywszy się w okwity zapas najlepszéj ciemiężycy z wyspy Antycyry, rośliny zachwalanéj przeciw obłąkaniu, pożywali ją całemi garściami i przez długie lata. Pewnego razu napadł biednych Abderytów szał przemijający kilkomiesięczny. Powodem do niego miała być okoliczność następująca: Archelaus sławny artysta dramatyczny odegrał był u nich w dzień gorący trajedją Euripidesa z Andromedą. Upał i sztuka wpłynęły tak silnie na zdrowie widzów, że prawdziwéj dostali gorączki, a po ustąpieniu téjże, dziwnie się im jakoś w głowie poprzewracało, wszyscy poczęli odgrywać trajedją, gadali tylko wierszem, wygłaszali z całego gardła poetyczne ustępy, odśpiewywali długi monolog Perseusza, zgoła na wszystkich ulicach Abdery roiło się od bladych i wychudłych z gorączki traików wrzeszczących w niebogłosy:

O ty władzco Bogów i ludzi Amorze!

a czynili to tak długo, aż dopóki nie nadeszła zima i dotkliwy chłód nie położył końca temu szaleństwu.

Wszakże o obłędzie według powyższego określenia jego istoty — z wyjątkiem chyba owéj wielce uciążliwéj trajedomanii — mowy tu nie ma, a że w granicach względnego zdrowia umysłowego ogromne jeszcze niedorzeczności mieścić się mogą, przekonywa o tém dowodnie codzienne podobno doświadczenie.

Wspomniałem o téj starożytnéj wieści jedynie dla tego, iż nasuwa jeden z rzadkich śladów w owych czasach nie obłędu pospólnego jako choroby istotnéj lecz pewnéj między ludźmi jednego miasta rozpostartéj, a przez społecznych i poźniejszych wytykanéj słabości umysłowéj.

Przykłady rzeczywistego obłędu pospólnego napotykają się głównie i liczniéj w wiekach średnich, w téj epoce, w któréj życie przeważnie duchowe niesłychany wzięło polot, kiedy w piersi człowieka olbrzymie zawrzały zapasy z żądzami i pokusami cielesnemi, kiedy serca gwałtownie się wzdymały od mniéj znanych dawniéj uczuć wiary, nieograniczonego poświęcenia i bezmiernego zaparcia się. Ma ten okres niejakie podobieństwo do ocknienia się młodziana, poczuwającego w sobie nagle pierwsze żywsze drgania twórczego ducha. Rozdrażniona nad miarę wyobraźnia, obok małego doświadczenia; gorące uczucie obok słabéj rozwagi, młode ogniste siły, bez mocy wytrwania i cierpliwości uwodzą często do przeceniania rozwijających się zdolności i do śmiałych lecz zbyt porywczych czynów. Młodzieńczy ten zapał spragniony wielkich czynów oddały po mistrzowsku słowa Adama:

Dzieckiem w kolebce, kto łeb urwał hydrze,
Młodzieńcem zdusi centnary,
Ten piekłu ofiary wydrze,
Do nieba sięgnie po laury!
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga —
Łam, czego rozum nie złamie.
Młodości! orla twych lotów potęga —
A jako piorun twe ramię.

Wyobraźnia i fantazja w jednym wyłącznie kierunku wytężona, z zaniedbaniem innych władz i zdolności tak cielesnych jak umysłowych tém łatwiéj przejść może w chorobowe zwichnienie, im stosunkowe wykształcenie jest słabsze i do małego tylko koła wyobrażeń, pojęć i myśli ograniczone. Zdarza się to u pospolitego ludu lub osób obeznanych zaledwie z pierwszemi początkami książkowéj nauki, u których pojęcia religijne mylnie częstokroć tłumaczone i rozumiane, stanowią zwykłe jedyny obrok duchowy. Dla tego też w téj warstwie skłonnéj prócz tego do zabobonów, najłatwiéj przyjąc się mogą i prędko przez naśladownictwo rozszerzyć obłędy na tle religijném. Jakoż i mają tę cechę cierpienia umysłowe pospólne, o których teraz mówić nam przyjdzie.

Wilkoładztwo (Lykanthropia). Wyraz ten w starożytności oznaczał raz przesąd pewien o istotnéj rzekomo przemianie ludzi we wilki — drugi raz chorobę

umysłową. Łatwo pojąć, że pierwszy, tj. wiara w tę zwierzęcą przemianę mogła dać powód do chorobowego urojenia, jakoby cierpiący doznał jéj na swojéj osobie. Najdawniejszy ślad tego przesądu napotyka się w bajecznych podaniach starożytnych Greków. – U Arkadyjczyków Zeusowi likajskiemu w nieprzystępném świętém ustroniu składano ofiarę z zycia ludzi; ci, co mieli obowiązek wykonania takowéj, wzdrygnąwszy się na tę okropność, uciekli do lasu ciemnego, gdzie za pokutę swego przewinienia przedzierzgnąć się musieli na lat 9 na wilki, przesąd ten trwał jeszcze przez całe wieki średnie. O wilkoładztwie jako chorobie wspominają lekarze pogańscy z pierwszych wieków ery chrześciańskiéj, a za nimi Arabowie jako o radzaju zadumy czyli melancholii ogarniającéj nie tylko ludzi pojedyńczych, ale występującéj gromadnie. Chorzy tacy naśladując głosem i ruchami wilka, błąkali się pośród grobów po całych nocach szczególniéj w lutym — aż do porannego brzasku. Ich wejrzenie bywało blade, wzrok ich błędny, oczy głębokie i suche, język szorstki i spragniony, od ukąszeń i pokaleczeń — które sami sobie wyrządzali, miewali nogi zwykle poranione i owrzodziałe. Przy rozpowszechnionéj wierze w czary, przesąd takich nieszczęśliwych chorych srogo prześladował, jako mających stosunki zakazane z djabłem i dopiero na początku XVII. stulecia udało się kilku lekarzom przekonać sąd, że niejaki Grenier, mający być skazany na stós za przyznanie się do wilkoładztwa, był niewinnym lecz obłąkanym.

Pląsawica nagminna. Obląd ten między wiekiem XI. a XV. kilkakrotnie w różnych krajach się ponawiał. Najdawniejszą o nim wzmiankę odziewa szata cudotworna. Jeden z kronikarzy niemieckich pod rokiem 1021 tak rzecz opowiada: „W tymże roku w Sasach wydarzyła się pląsawica w klasztorze ś. Magnusa wczas z rana, poczęta od 15tu mężczyzn i 3ch niewiast na cmentarzu tamecznym jak tylko prezbiter pierwszą mszę odprawia i nie ustawali w pląsach ani śpiewie pustym. Prezbiter wyszedłszy z kościoła, napomniał ich, by tego zaprzestali, odpowiedzieli, że nie usłuchają. Rzekł Egbert: bodajbyście z woli Boga cały rok tak tańczyli. Oni zaś potrącali go i śpiewali daléj. Jedna z niewiast była córką kapłana, kazał ojciec synowi swemu Janowi, aby ją za ramię z tańca wyciągnął i wyrwał jéj ramię z ciała a krew nie szła a ona daléj śpiewała i pląsała z tamtymi. Naprzód wryli się w ziemię aż po kolana, potém po biodra i tak przebyli rok cały. Ani deszcz, ani śnieg ich nie dotknął, ani téż co jedli, ich obuwie i odzież nie starzały, ani im paznogcie, ani włosy nie odrastały. Po upływie roku pochłonęła ich ziemia aż po boki. Wtedy przyszedł biskup i modlił się za nimi. Wtém sen ich ogarnął i spali trzy dni i trzy nocy bez przerwy. Jeden z nich z córką kapłana i innemi dwiema kobietami padły do kolan arcybiskupa i wnet ducha wyzionęły, niektórzy po przebudzeniu ocknęli się i poszli do domu i nakarmili się, lecz aż do śmierci nie pozbyli się drzenia ciała".

Drugi przykład pląsawicy pospolnéj odnosi się do r. 1278 i pojawił się w Utrechcie, gdzie 200 osób na moście Mozelskim puściło się w tany, zapewniając, że nie ustaną, aż dopóki kapłan z ciałem Pańskiém się nie ukaże. Poczém most się zapadł i wszyscy w nurtach rzeki potonęli.

W XIV. wieku z Anglii obłęd taki przeniósłszy się na ląd stały, ogarnął po kolei Holandją, Niemcy, głównie okolice nadreńskie i nadmozelskie przedstawiając obraz niewątpliwéj pląsawicy nagminnéj. Tłumy mężczyzn i kobiet, młodzieńców i dziewcząt z wieńcami na głowach, na pół nadzy, tylko przez pół opasani, przebywszy zwykłe w domu konwulsyjne napady, zrywały się na ulice i trzymając się nawzajem za ręce pląsało, szczególniéj przed kościołami lub miejscami odpustowemi tak zapalczywie i długo, aż omdleni poupadali, przyczem ogromnie się rozdymali. Cierpienie częstokroć szybko przejmowało przypatrujących się i jeszcze w niektórych miejscach tę miało osobliwość, że się wzmagało śród przerażającego krzyku na widok sukna czerwonego i trzewików z ogromnemi dziobami, które wówczas za gorszący poczytywano zbytek. Chorzy ocknąwszy się z tego szału, opowiadali, że im się zdawało, jakoby brodzili w potokach krwi i że dla tego tak podskakiwali. Cierpienie nagabywało tylko biednych z warstwy najniższéj i łatwowiernych, rzadko zaś tylko bogatych i księży. Zwano je zrazu tańcem śgo Jana a późniéj tańcem śgo Wita, a poszło to ztąd, iż powstawało w porze odpustów i pielgrzymek do miejsc poświęconych czci tych patronów.

Po tém najgwałtowniejszém panowaniu tego obłędu, powstał on znowu w roku 1418 w Strasburgu, gdzie kilkaset osób na publicznych placach ta niemoc schwyciła, poruczono cierpiących opiece ś. Wita, sprowadziwszy ich oddziałami do kaplicy tego patrona. W czasach późniejszych choroba ta nietylko wydarzała się rzadziéj i nie tak gromadnie, ale coraz bardziéj traciła cechę obłędu i przybierała postać cierpienia nerwowego dziś znanego i leczonego pod nazwą pląsawicy. — Pojaw ten chorobowy podobieństwo ma wielkie do cierpienia zwanego Tarantyzmem, który poczytać można za pląsawicę, nawidzającą pospólnie w w. XV. południowe Włochy. W przypadkach tę tylko podniesiono różnicę, że dotknięci zrazu wywracają się na ziemię i jak martwi leżą i dopiero za odezwaniem się dźwięków muzyki, a zwłaszcza tańca narodowego zwanego tarantellą, naprzód się podnoszą, potém stopniowo w coraz szaleńsze wpadają pląsy trwające godzin kilka bez przerwy. — Może z nazwy tańca tarantella urósł zczasem przesąd, że ukąszenie skrzeczka czyli tarantuły chorobę wywołuje; pewną jest rzeczą,

że owad wzmiankowany skutku takiego nie wywołuje, a podobną wielce do prawdy, że to samo cierpienie, które w innych krajach nazywało się poprostu pląsawicą albo też tańcem ś. Wita, przybrało we Włoszech nazwę tarantyzmu. — Ostatnim słabym podźwikiem tego zboczenia umysłowego były drgawkowe ruchy urojeńców, które się pojawiały w latach 1727—1732 w Paryżu na cmentarzu ś. Medarda. Szaleństwo to coraz szersze przybrało rozmiary, aż mu zamknięcie na rozkaz królewski tego cmentarza koniec wreszcie położyło. Wtedy to dowcip francuski naigrawając się z wszechwładzy królewskiéj, utworzył znany dwuwiersz, pod formą królewskiego rozporządzenia:

De part le roi defense à Dieu
De faire Miracles en ce lieu.

(Od króla wydaje się zakaz Bogu
Czynić cuda w tém miejscu.)

(Dok. nast.)

WYŚCIGI.

(HUMORESKA Z ANDERSENA.)

Akademja zwierząt ustanowiła dwie nagrody, pierwszą i drugą, nie dla tych, którzyby biegli najszybciéj i przybyli pierwsi do pewnego oznaczonego celu, lecz dla tych, którzyby w ciągu jednego roku największą drogę zrobili.

Zając otrzymał pierwszą nagrodę, ślimak drugą.

— To nic więcéj, tylko sprawiedliwość, powiedział zając, ponieważ moi najlepsi przyjaciele byli członkami komisyi, a przecież przyjaciół ma się nie na darmo; nie pojmuje jednak jak można było przysądzić drugą nagrodę ślimakowi: prawdziwie, jestem o to urażony.

— Mylisz się pan, odrzekł słup, który miał udział w rozdziale nagród, ponieważ miano wzgląd nie tylko na długość drogi, lecz również na wytrwałość i na okoliczności. Prawda, że ślimak potrzebował sześć miesięcy dla przebycia progu bramy; lecz w swoim zapale — a okazał go wiele — złamał sobie goleń. Jedynén zatrudnieniem jego życia było biedz, i biegał pomimo ciężaru swego domu, który zawsze nosi na grzbiecie, co pomnaża trudności. Zdaje mi się, że gorliwość jego zasłużona; dlatego to dano mu drugą nagrodę.

— Gdybym była przypuszczoną do współubiegania się, rzekła jaskółka, nie ulega wątpliwości, żebym była osiągnęła pierwszą nagrodę; nikt nie był tak daleko jak ja; ja byłam tak daleko, tak daleko...

— Tak daleko, że pani dojrzeć nie można, to właśnie błąd pani, przerwał słup: pani jesteś ciągle w ruchu: zaledwo zimno da się uczuć, oho, już się pani do innego klimatu wynosi; pani nie ma patryjotyzmu, dobrze zrobiono, że panią wykluczono.

— A jeżelim przespała całą zimę w sitowiu bagniska, to przecież mogłam być przypuszczoną.

— I ja tak myślę, lecz ponieważ znane są skłonności pani, potrzeba było złożyć certyfikat jako że, aby nie opuszczać kraju, przeniosłaś pani rzeczywiście ten sen zimny i niezdrowy nad swoje włóczęgi i swoje zwykłe rozrywki.

— Gdyby była prawdziwa sprawiedliwość, odezwał się ślimak, to komisja byłaby mi przysądziła pierwszą nagrodę zamiast drugiéj. Zając biegł tylko gnany tchórzostwem swojém, które mu każe uciekać za najmniejszym pozorem niebezpieczeństwa; ja przeciwnie, zrobiłem sobie z téj kwestyi zadanie mego życia, i okaleczałem wśród drogi. Zaistę zasłużyłem na pierwszą nagrodę; ale nie lubię robić nieprzyjemności, sporów, jestem zbyt wyższy ponad to wszystko.

To mówiąc, splunął z pogardą.

— Komisja — zauważył stary drogoskaz, który był jéj członkiem — postąpiła sobie mądrze i sprawiedliwie zarazem, potrafię ją obronić przeciw wszelkim napaściom. Mam we zwyczaju działać zawsze z rozwagą i namysłem. Już jedenaście razy miałem zaszczyt zasiadać między członkami komisyi, a jeszcze nigdy moje zdanie nie przeważyło; lecz dzisiaj wszyscy koledzy poszli za mojém zdaniem. Bo też polegało ono na nieomylnym systemie, jak to zaraz zobaczycie. Gdy szło o pierwszą nagrodę, liczyłem zgłoski alfabetu, zacząwszy od *a* aż do dwunastéj, a to z téj przyczyny, że właśnie po raz dwunasty brałem udział w komisyi; doszedłem w ten sposób do zgłoski *l*, która niezaprzeczenie oznaczała zająca (lièvre): jemu więc przyznałem nagrodę pierwszą. Gdy szło o drugą, wziąłem znowu alfabet, i zatrzymując się przy zgłosce trzeciéj, ponieważ właśnie był trzeci dzień miesiąca, znalazłem *c* pierwszą literę nazwiska ślimaka (colimaçon), który zatém drugą nagrodę zasłużył.

Przyszłą razą litera *m* otrzyma nagrodę pierwszą, a drugą przysądzę według liczby dnia, który wtedy będzie: dajmy na to, że rozdzielanie wypadnie dwudziestego, to drugą nagrodę otrzyma żółw (tortue). We wszystkiém potrzeba porządku i metody, i nikt mi nie pokaże sprawiedliwszego systemu.

Gdyby moja godność sędziego, rzekł muł, nie była się temu sprzeciwiała, byłbym sobie przyznał pierwszą nagrodę. Nie dosyć wziąść na uwagę szybkość i gorliwość współzawodników, jest jeszcze jedna zaleta, która powinna zaciążyć na szali, a która często zostaje niepostrzeżona; nie chcę tu mówić o umiejętności, z jaką zając ucieczką swoją umie kierować skacząc to na prawo to na lewo dla zmylenia pościgu; nie, lecz na piękność jego zamierzam zwrócić uwagę, z przyjemnością skonstatowałem na nim tę zaletę, podziwiając nadewszystko jego długie i pełne wdzięku uszy, a myśląc jakem w młodości mojéj musiał być podobny do niego

postanowiłem w mojém sumieniu, że był godny nagrody pierwszéj.

— Czy pozwolicie mi państwo maleńką uwagę? Tak wyraziła się mucha, która chciała wtrącić się do rozmowy. — Pomimo mojéj maleńkości, nie waham się twierdzić, żem prześcigła niejednego zająca, przedwczoraj złamałam nawet dwie tylne łapki królika: siedziałam na wagonie kolei żelaznéj, zwierzątko nie widziało jakem z pociągiem przybyła i skaleczyłam go w przebiegu. Sądzę, że to zwycięztwo więcéj warte jak inne; lecz nie żądam za to nagrody

— Mnie się zdaje, odezwał się głóg, który przez skromność zbyt często zdanie swoje zachowywał dla siebie, że promienie słońca powinny były odnieść i pierwszą i drugą nagrodę. W mgnieniu oka dochodzą aż do nas, a ich władza ogrzewa i ożywia całą naturę. Ich to blask rumieni róże, z których one piją i rozlewają w powietrzu łagodne wyziewy. I powiedzieć, że w komisyi nikt nawet nie pomyślał upomnieć się dla nich; prawdziwie, gdybym był słońcem, dałbym wszystkim sędziom dowód méj siły, jakbym im mózg nieco pomięszał. Ale powiecie im, że już i tak mają nie bardzo zdrowy. Zresztą ja tam zostawiam niech inni mówią i robią. Co do mnie, ja podziwiam piękność mojego lasu. Jestem szczęśliwy że żyję i kwitnę wpośród poezyi pól, i żywię wdzięczność dla promieni słońca, które uważam jako najwyższy cud natury i największe dobrodziejstwo Boga.

W téj chwili wylazł robak ze ziemi, który się spóźnił na konkurs.

— Na czém polega pierwsza nagroda? zapytał.

— Wolny wstęp do ogródka zasadzonego kapustą, odpowiedział muł. To ja zaproponowałem: nic nie może być stósowniejszego dla zająca i jego instynktu.

Ślimak pozyskał prawo zająć stary mur, połykać tam promienie słońca i wystawiać swoje rogi do woli. Nadto został zamianowany sędzią ze względu na nieudolność swoją, a dzięki doświadczeniu, jakiego złożył dowody, odda on wielkie usługi w komisyi. Należy się spodziewać, że rozsądna czynność i uczone sądy naszéj akademii osiągną coraz to szczęśliwsze rezultaty. Rozpoczęliśmy zachwycająco.

— Dobrze, pomruknął robak odchodząc, mam i ja także wolny wstęp do wszystkich na świecie ogródków; a co do starych murów, nie używam ich wcale; dobrzem zrobił, żem się nie fatygował o te nagrody.

Wystawa powszechna w Paryżu
(1867 roku).

(Dokończenie).

Dziwne wrażenie sprawiał ten widok kopuł, minerałów, kształtów nie widywanych u nas. To inny świat. Nie szukać tu maszyn, ani praktycznych wynalazków geniuszu ludzkiego — bo tutaj jest kraina życia kontemplacyjnego: przyjemność idzie tutaj przed pożytkiem, a poezja opromienia najdrobniejsze szczegóły życia. Rozmaitość budowli, bogactwo i wymyślność ozdób, jaskrawość barw — wszystko to dla zabawy oczu — a typy krajowców w dziwacznych ubiorach, którzy się snuli pośród tych budowli, dodawali całości głównego wdzięku, ruchu i życia.

Pięć mocarstw ustawiło szereg budowli dla poznajomienia nas z życiem Wschodu — oglądniemy po kolei co ważniejsze.

Namiot podróżny Emira Al Mumcymin, składa się z dwóch oddziałów: pierwszy okrągły służy za pokój dzienny, drugi kwadratowy jest sypialnią i salonikiem. U szczytu półksiężyc, a po nad jedwabną kotarą przy wejściu czerwony napis. Nic nie mogło lepiéj przedstawić Marokku, jak taki namiot, symbol ludności pasterskich, które na zależność i niewygodę na kolejach żelaznych zapewneby nie przystały.

Bardo, pałac beja tunetańskiego. Tunis położony nad morzem, zbogacony żeglugą, otwarty od dawna dla idei europejskich, cieszy się w porównaniu z Marokkiem wysoką cywilizacją. Artystyczna tradycja téj rasy maurytańskiéj, która postawiła Alhambrę, zachowała się jeszcze, zręczni robotnicy umieją z niéj korzystać, jak tego pałac dowodem. Środek głównego gmachu poprzedza galerja (perystyl), kryta zielonemi dachówkami, podtrzymują ją drobne marmurowe kolumny. U ogromnych schodów wiodących do téj galeryi, trzymają straż sześciu lwów, a wewnętrzna ściana galeryi ubrana jest w azulejos tj. fajansowe tafle o łagodnym połysku; cała balustrada wskutek harmonii barw zdaje się uśmiechać wesoło. Po bokach są dwa pawilony kwadratowe. Pierwsze piętro pawilonów jest zaopatrzone w moucharabiehs, niby klatki zewnętrzne wyrobione z drzewa i pomalowane. Okna są wązkie, (bo tam słońce piekące) ozdobne, sklepione kolumnami. Kształt całości prostokątny, trzy kopuły, dwie z przodu, jedna w tyle, na płaskim dachu szeroka terasa. Teraz wstąpimy do właściwych apartamentów beja. Przedsionek prowadzi do Patio. Izba ta odpowiednia atrium Rzymian, jest kwadratowa bez sufitu, w dwóch kątach miękkie otomany i dywany dla spoczynku. W środku marmurowa fontanna w otoczeniu takiéjże kolumnady rzeźbionéj w koronkę i pokrytéj zielonym daszkiem. Wielkie krzewy o szerokich liściach utrzymują tu wraz z grą wody ciągłą świeżość, ściany ozdobione fajansowemi mozajkami.

Na prawo z tego vestibulum wchodzi się do izby sprawiedliwości. Oświecają ją dwie rzeźbione moucharabieh, a pokrywa wspaniała kopuła w arabeski złote, na dnie czerwoném. Na prost jest izba straży wyłożona sztandarami, rzędami. Ztąd prowadzą ślimakowate

schody na terasy i do salonu letniego, znajdującego się pod lewą kopułą. Ztąd wychodzi się też do izby posłuchalnéj pierwszego ministra.

Głąb Patio zajmują trzy pokoje: Jadalnia obita najdziwaczniejszemi materjami, o barwach: czerwonéj, niebieskiéj i żółtéj, sufit i okna wyrabiane zbytkowym przepychem, poduszki na dywanach z złocistego płótna, kilka złoconych taburetów, które pełnią usługę naszych stołów. Salon recepcyjny z tronem, błyszczy od bogactwa i barw, pod niebieską kopułą zawieszona złota lampa. — Na koniec izba Beja pełna dziwacznych sprzętów, zwierciadeł wykładanych perłową macicą, a po za kotarą schody wiodące do haremu. Słowem tak zewnątrz jak i wewnątrz olśniewa tam gra kolorów, rzeźb, arabesek i wszelkiego rodzaju kaprysów architektonicznych.

W tym pałacu na dole był bazar z produktami tunetańskiemi: tytoń, cybuchy, ciasta. Z drugiéj strony kawiarnia arabska, na dwóch estradach na zewnątrz i wewnątrz orkiestra z pięciu muzykantów, wygrywających na dziwacznych instrumentach kawałki niepodobne do słuchania dla europejskich nerwów. Hamenegh, to coś jak gitara — reabob, niby skrzypce przydłużone — tabar, darabuka tamburyny tancerek, po których jak pałeczkami po cymbałach, palcami się bije. Muzyce towarzyszy nosowy śpiew — a gościom roznoszą w maleńkich filiżankach kawę gęstą, gotowaną z cukrem i narghile. Nie daleko są eleganckie stajnie dla nie mniéj eleganckich koni arabskich.

Budynki postawione przez Turcją miały na celu więcéj ciekawość, jak podziw. Całe życie tamtejsze mieści się w tych trzech budowlach:

Moschea, gdzie na głos Muezzina udają się Turcy na pacierze. W pierwszéj izbie składają wierni swoje obuwie, po za jéj próg nie wolno niewiernemu przestąpić i ztąd jedynie mogą się przyglądnąć czasem kościelnym praktykom derwiszów w następnéj sali, w któréj z ambony złoconéj (mimber) Iman objaśnia Koran. Religja Mahometa nie pozwala na wyobrażenia żadnego stworzenia ani rzeczy, więc też po murach nie ma obrazów, tylko słowo *Allach* i wypisy z koranu świecą złotemi literami na czerwoném i niebieskiém tle ścian i kopuły.

Kiosk jest to jedno z pomieszkań letnich z nad Bosforu, gdzie zamożniejsi Turcy oddechają świeżością morza, palą tutuń, piją kawę i oddają się słodkim dumaniom, patrząc za białemi żaglami kaików. Dach płaski wystający, okna z cieniutką kratą, u głównego wejścia fontanna z białéj porcelany, wyrzucająca pachniącą wodę; wewnątrz złoto, dywany, miękkość i świeżość — nie ma tam nic, coby przypominało pracę, lub obowiązki — życie jest na to, żeby używać przyjemności — drzemiąc.

Obok stojące kąpiele, łaźnie, to ubóstwo, obok zbytku; schronienie dla ludu obok pałaców. Używanie kąpieli należy do przepisów religii; tutaj pije się także kawę i udziela nawzajem nowin miejscowych i politycznych. Trzy są zwykle izby: szatnia, bania i izba pośrednia do stopniowego nawyknienia do niesłychanego gorąca, którego od razu nie podobnaby znieść. Światło pada tam z góry przez szklanne klosze, umieszczone w kopule.

Najbogatszą jednak i najwięcéj pouczającą była wystawa Egiptu. W czterech budowlach przedstawia się nam cała jego historja: świątynia, to epoka Faraonów; Selamlik, to era Kalifów; Okel i domek sąsiedni, to Egipt dzisiejszy:

Po pod łukiem tryumfalnym, mającym za całą ozdobę tarcz słońca z dwoma żmijami — godło północy i południa — prowadzi ulica ze sfinksów do świątyni, u któréj wrót siedzą dwa posągi z masy naśladującéj granit. Sama świątynia w kształcie piramidy, obejmuje szeroką izbę i galerję zewnętrzną, zawieszoną na kolumnach wstawionych w drugi mur, aż do wysokości kapitelów, które się szeroko w kwiaty lotusu rozwijają. Gzymsy ubrane w podwójną głowę bogini Hathor z uszami krowy. Malowidła po murach, sięgające czasów Mojżesza, przedstawiają szczegóły jakiéjś wojny, sceny z codziennego życia, winobranie, rybołowstwo, polowanie, okręta. Są to oznaki wysokiéj cywilizacyi, w czasach, kiedy o reszcie świata historja zaledwo wspomina. Rzeźby w środku ustawione mają po 6 — 7000 lat, a klejnoty znaleziono w mumii królowéj Aach-Hotep, spółczesnéj Józefa. Sztuka egipska zasnęła po podboju rzymskiém i ocknęła się aż dopiero po Mahomecie, lecz już w innym kształcie, w arabskim.

Salamlik, czyli pałac wicekróla, jest to wzór nowéj architektury; mnóstwo izb nieregularnych, kopuł kapiących ażurem i złotem, drobnych nyż — zewnątrz po bokach dwie rotundy snycerską robotą, wewnątrz zbytkowe apartamenta wicekróla — za niemi sala wystawowa. Najciekawsze były tu wzory ogromnéj pracy nawodnienia, któremu Egipt zawdzięcza swoją wyjątkową urodzajność.

Okel jest to okaz jednego z wielkich domów z Kairu. Jest w nim zarazem hotel, warsztaty i sklepy. Tu murzyni sprzedają klejnoty, wyroby złotnicze, z kości słoniowéj, plecionki, cybuchy. Naprzeciw portyku kawiarnia, gdyż jak u nas wódka lub wino, tak na Wschodzie żaden targ nie obejdzie się bez kawy. Kupujący siada przed sklepem, a kawiarz na rachunek kupca już mu podaje mokkę i fajkę. Na piętrze urządzono salę antropologiczną, 500 głów mumij, 6 mumij całych, był to zbiór nie widziany dotąd. Reszta piętra podzielona na pokoiki dla zajezdnych gości. W domku

obok mieści się służba, stajnie dla osłów i wielbłądów, i nieodzowna fontanna.

Do wystawy wschodniéj należy jeszcze policzyć pawilon, gdzie w płaskorzeźbie przedstawiono wszystkie prace, maszyny i okolice przekopu suezkiego.

Na tém kończymy opis wystawy, któryśmy prowadzili systematycznie według planu. Zamiarem naszym było połączyć opis z pożytkiem; ciekawość i zabawę z poznajomieniem się z wielu przedmiotami nieznanemi u nas.

Z Wiednia w styczniu — (pogadanka ulotna).

Jak tu huczno i wesoło! pyszne ekwipaże, pędzą po ulicach, nowe gmachy, pałace powstają — sklepy wytworne jaśnieją przepychem, ruch i hałas! Tymczasem kolumny Dzienników co rano przytaczają nowe dowody nędzy, obok nuconéj Offenbachowskiéj arietki słychać jęk rozpaczy! a stary Dunaj codzień prawie nie jedną straszną pokrywa tajemnicę.

Nigdzie w porównaniu tyle samobójstw: drożyzna niesłychana, a wyrobnicy mało zarabiają. Maszyny wydarły chleb z ręki biednéj pracownicy, tysiące z nich ginie gwałtowną śmiercią, lub umiera moralnie. To chwila przesilenia.

Teatra zawsze pełne: oklaski sypią się operetom i pannie Geistinger, téj Pięknéj Helenie — i Wielkiéj księżnie Gerolstein. W dzień widać ją w Praterze to galopującą na pięknym rumaku, to pieszo, a zawsze otoczoną gronem wielbicieli, wybrańców Sportu i Finansów. Sport i finanse — Kursa i bursa, jest to nowoczesne Forum.

Beletrystyka tutejsza posiada nie zwykle utalentowanych współpracowników, ale co do tendencyj, to główną zasadą — stałość w niestałości. Kronikarzy i recenzentów posiadają znakomitych — Edward Hanstlik, autor kilku ze znajomością wielką napisanych rozpraw muzycznych (O pięknie w muzyce) — Mantner, którego dramat Eglantine zjednał sobie pochlebne uznanie — i dowcipny Schelle do pierwszorzędnych należą.

Dawny dyrektor Teatru w Burgu Laube — pisze krytyki chętnie czytane, w szpaltach nowéj Pressy.

Po za tym Wiedniem, wiecznie śmiejącym i bawiącym się, przyklaskującym baletom i szybkim angielskim konikom — jest drugi poważny, ceniący prawdziwą sztukę, uczęszczający na wystawy, rozliczne prelekcje, koncerta, kształcący się i podnoszący moralnie. Ta to publiczność podziwiała obraz Matejki i rysunki Grottgera! który rysował cierniem z męczeńskiéj korony Matki Ojczyzny, jak Matejko maluje łzami jéj i krwią.

Panna Ebergenyj — to nazwisko otaczane najsprzeczniejszemi domysłami, przechodzi obecnie z ust do ust. Jedni zaręczają, że z zupełnie zimną krwią pali wonne kabanosy — drudzy twierdzą, że blada i rozpaczająca dzień i noc, łamiąc ręce i szlochając, po swéj kaźni chodzi. Pojedynek, czy zbrodnia? Wszak drzwi mieszkania otrutéj hrabiny Choryńskiéj od wewnątrz zamknięte były — ale znowu dla czegóż nieszczęśliwa ofiara nie żyjąc z mężem i zapewnie nie kochając go, przystać miałaby na straszny pojedynek, do którego tylko namiętna miłość lub zazdrość popchnąć może! Wszystko tu jeszcze tajemniczą zagadką. Sąd zbiera dowody, śledzi, bada; brat panny Ebergenyi przybył tu z Pesztu, i udał się do władz z prośbą, o prawo zkonfiskowania rozprzedawanych fotografij siostry.

Muzyka i taniec; świetny bal u księcia Grammont ambassadora Francyi, rozpoczął karnawał — potem bal maskowy w Dianasaal i już bez końca.

W teatrze na Wiedeniu ulubiona operetka Offenbacha, Barbe-bleue.

Któż nie zna sławnéj bajki o strasznym tyranie i jego pięciu żonach! Stanowi ona główną treść zabawnego libretta.

Pierwsze podniesienie kórtyny ukazuje u stóp zamku tyrana dwie chaty: w jednéj mieszka pasterka, w drugiéj pasterz, kochają się i przysięgają wzajemną miłość. Gdy o dziwo! przybywa dworak króla Bobèche, i odkrywa, że mniemana pasterka jest księżniczką królewskiéj krwi, córką jego pana. Najmiłościwszy Bobèche nie mógł znieść, żeby starsza od brata siostra tron odziedziczyć miała — przed szesnastu laty utopić dziecinę rozkazał. Ale rozpacz ogarnia serce jego, bo spostrzega, że złe wychowanie nieudolnym uczyniło młodego księcia. „Niech córka moja odżyje“ — i tak się stało, gdyż u króla wszystko możebném.

Rycerz Barbe-bleue tymczasem pochował piątą żonę — i zamyśla rozerwać się, koronując najcnotliwszą dziewczynę swych włości. Ubiegają się wieśniaczki, nazwizka spisują, Pepelani, alchymista strasznego rycerza, wyciąga kartkę z imieniem: „Boulotte“. Barbe-bleue wieńczy ją i nawet ofiaruje jéj swą rękę. Drugi akt ukazuje nam dwór króla Bobèche. Przygotowują uroczyste przyjęcie księcia Safira, starającego się o odszukaną królewnę. Ona biédna płacze i szlocha za swym pasterzem, nie chce i spojrzeć na przybyłego księcia. Młodzian przemawia do niéj: o! szczęście! wszak to jéj luby! Wszystko więc najpomyślniejszy obrot bierze — Rycerz Barbe-bleue przedstawia na dworze dostojną swą małżonkę, która ciągłe przekroczenia przeciw etykiecie popełnia. Mąż grozi, błaga, prosi, wszystko daremne. Wraca młoda para do zamku: Barbe-bleue ujęty wdziękami królowéj, postanawia otruć szóstą żonę, zabić księcia Safira i zaślubić księżniczkę. Wlecze nieszczęsną Boulotte do podziemnego lochu. Tu są nadgrobki pięciu żon. Na tych pośmiertnych tablicach tyran uczy czytać swą małżonkę. Już i dla niéj miejsce przygotowane. Pepelani podaje kubek

z trucizną — Boulotte pije i kona! wszystko skończone byłoby — ale alchymista wynalazł maszynkę do zmartwych-wskrzeszenia. Boulotte wyratowana — ściana rozsuwa się i ukazują się przy wesołéj kolacyi żony rycerza Barbe-bleue. Godzina zemsty wybiła. Pepelani zdradza zamiary swego pana — panie zgodnie podają sobie ręce i za cyganki przebrane udają się na dwór króla Bobêche. Dzielny rycerz zabił już tymczasem młodego Safira, i przestraszony król oddał mu jedynaczkę. Pepelani z cygankami przybywa i zwierza się przed powiernikiem królewskim; brak mu tylko cyganów: „Nic łatwiejszego mój drogi, u mnie w piwnicy siedzi pięciu młodzianów, których król trapiony zazdrością, rozkazał mi zabić“. „Tak! ależ ja mam sześć dam“. „Ba! to książe łaskawie zmartwychwstanie“ Tak też się dzieje. Barbe-bleue przerażony — królowa wyratowana — alchymista poważnie oświadcza, że żaden ślub jego pana nie był ważnym — pięciu cyganów bierze pięć cyganek, królewna idzie za księcia Safira, a rycerz przysięga dozgonną miłość kochającéj go Boulotte. Kostiumy pyszne — muzyka ładna, wesoła, powiem dowcipna — cała rzecz pusta i szalona jak usposobienie karnawałowe.

W Stadt-Park elegancki świat, czy półświat, ślizga się po sadzawce od 12téj do 2giéj, przy licznych widzach; toalety najwyszukańsze, futra najrzadsze migają się szybkim lotem. Złota i złocona młodzież przyklaskuje, śmiech, gwar, na lodzie, jak na maskaradzie.

TEATR. Przez scenę naszą przelatują obecnie dwa prądy: karnawałowy i konstytucyjny; widzimy bowiem rozmaite nowe i przerabiane krotochwile, w których rzecz zachacza albo o bale, albo o wybory do rad miejskich, powiatowych. Wyjątek stanowiło przedstawienie Narcyza Rameau.

Dramat ten Brachvogla należy do utworów wiecznie ganionych, a mimo to ciągle mile widzianych. Jak zbolała rana zondy lekarskiéj, tak sztuka ta nie wytrzyma ostrza krytyki, a jednak jest ona tak sympatyczną, że publiczność zawsze się na nią tłumnie garnie. „Narcyz Rameau“ to jedna rola popisowa, około której inne w dramacie obracają się jak marionety. Biedny szaleniec Narcyz szuka swéj żony, wszechwładnéj za Ludwika XV. pani Pompadour, a szuka jéj długo, bo przez 5 aktów; tymczasem majaczy na scenie, rozwija teorje filozofii niemieckiéj, wprawia w zadumę takich jak Grimm i Diderot, encyklopedystów, pogardza całym światem, wiecznie się nudzi, mówi o własnym pogrzebie, zapuszcza się z porcelanową figurką w dyskussję o przeznaczeniu świata, odgrywa scenę w komedyi jak znakomity artysta, w końcu znajduje żonę swoją, ale jako niegodną odpycha ją i nareszcie traci zmysły. Takim jest główny bohater dramatu, zrodzony raczéj dla szpitala, aniżeli dla sceny. Autor za tło obrazu wziął dwór francuzki, za Ludwika XV. i kazał występować pani Pompadour, ministrowi Choiseul, królowéj Maryi Leszczyńskiéj, i wielu innym podrzędniejszym osobom. P. Brachvogel żadnego nie naszkicował charakteru wybitniejszego, bo wszyscy wchodzą na scenę, jak się zdaje tylko dla wynurzenia żalów na rządy margrabiny, która ku niezadowoleniu Francyi, włada umysłem słabego króla, gdy tymczasem królowa Marja w ustroniu płacze nad swojém nieszczęściem, chyba, że autor dla pokazania nam jéj, jaką nową scenę wymyśli. W całém prowadzeniu nie ma akcyi, długie monologi, luźne sceny i pseudohamletowska dziwaczność mogą znużyć widza. Jednak w sztuce téj bije jedno tętno, odzywa się jeden głos, którego echo w duszach widzów odbrzmiewać musi. Oto wpośród dworskiego, fałszywego i zepsutego świata, słychać głos serca, tęsknoty za życiem rodzinném — zapominamy o nieudolności akcyi i deklamacjach filozoficznych, ilekroć Narcyz mówi o swojéj żonie. Ten motyw ratuje sztukę, a pomaga mu w tém popisowość niektórych ról.

Chcąc uczynić rolę Narcyza naturalniejszą, prawdopodobniejszą, trzeba jéj nadać barwę rzewną, uwydatnić przedewszystkiem żal za utratą szczęścia rodzinnego, tęsknotę, która powinna górować nad wszystkiemi sentencjami filozoficznemi. Artyści niemieccy, jak PP. Wagner, Dessoir, Dawison — podnoszą szczególnie Hamletowskie uwagi Narcyza, dla nich nieocenioną jest scena z figurką; nasi przeciwnie artyści, PP. Jan Królikowski i Rapacki pojmują rolę tę tak, jak ona pojętą być powinna, aby dramat mogła ocalić. P. Rapacki, z wyjątkiem niektórych scen, (jak pierwsze zaraz wejście, rozmowa z pogodą, spotkanie się z margrabiną), do głębi poruszył publiczność, która opuściła teatr pod wrażeniem tak mistrzowsko przedstawionéj sceny, jaką była przygotowanie się do wystąpienia przed margrabinę. Mimowolnie tu nasunęło nam się porównanie obu wymienionych artystów naszych, i śmiało możemy powiedzieć, że scenę tę, stanowiącą punkt kulminacyjny całéj sztuki, p. R. lepiéj oddał, aniżeli p. Królikowski. Ten ostatni uczy się roli jak znakomity, lecz obojętny artysta, przeciwnie pan R. obok wysokiego artyzmu w scenę tę tyle wlał siły i ciepła, że porwał za sobą słuchaczy. Pani Aszpergerowa wszystko zrobiła, co mogła, aby grą swoją zastąpić to, co autor z roli téj uczynić zapomniał. Brachvogel snać zbyt zamiłowany w kurczach sercowych i kongestjach mózgowych, nigdzie nie uwydatnił potęgi, jaką wywierała pani Pompadour na rządy Francyi. Inni artyści nie mają pola do popisu. †

, W niedzielę dawano spółczesną komedją Michała Bałuckiego, p. n.: „Polowanie na męża“. Wszyscy artyści oddali role swoje z prawdą, humorem i nadali całemu przedstawieniu właściwy ton i werwę.

Szczególniéj pp. Ekerowa (babka), Hoffmanowa (Aniela, przesadna miejska panna) i Rapacki (Walenty, parweniusz) stworzyli z ról swoich postacie tak typowe, dzisiejsze, że publiczność ożywiona ciągłemi oklaskami, ich grze towarzyszyła.

Tegoż wieczora z przyjemnością widzieliśmy w ludowéj fraszce „Wesele Zosi" — p. Dobrzańskiego w roli pokątnego pisarza, którą oddał z dobrą charakterystyką i swobodą, przypominającą wiedeńskich komików. Zdaje się, że pewne rodzaje komiki jedynie talentowi p. D. odpowiadają. *S.*

MODY.

Dziennik nasz jest jedynym, który wymaganiom mody najwcześniéj i najobficiéj zadosyć czyni. Nie sprowadzamy bowiem kliszów, żeby z nich dopiero po niewczasie wzory odbijać, ani téż nie fabrykujemy sami niedołężnych bohomazów na tuziny — ale mody nasze odbijają się za granicą równocześnie z najpierwszemi organami mody, jak „Salon des modes", „Moniteur des modes europeéus" itd., co zresztą na pierwsze wejrzenie na nasze ryciny i kroje poznać można. Zagraniczne, fachowe współpracowniczki nasze czuwają jedynie nad tém, iżbyśmy mieli zawsze sam wybór rzeczy najpraktyczniejszych dla naszych Pań.

I na luty obok obszerniejszych opisów i ryciny podajemy jako nadzwyczajny dodatek znowu podwójny bogato zapełniony arkusz krojów, z uwzględnieniem wszelkich odmian balowych, wizytowych, spacerowych i dla domowego zajęcia, i mnóstwo ozdób i strojów.

Mody teraźniejsze, doszły do takiego stopnia doskonałości, iż zdaje się, że osoby, które je wymyślają, prześcignęły same siebie. Widzieliśmy właśnie dwie panie z małą panienką wysiadające z powozu i te właśnie ubiory zamierzamy opisać.

Starsza z tych pań — zapewne matka małéj panienki — miała suknię krótką aksamitną czarną, podpiętą à la Louis XV., agrafą sieczkową, na długiéj sukni czarnéj atłasowéj „Paltot" krótki czarny, po bokach trochę rozpróty, oblamowany wypustką atłasową. Kapelusz czarny z kapturkiem koronkowym, od którego kołnierz spada prawie do pasa, z boku róża pąsowa aksamitna.

Druga pani młodsza miała suknię krótką, z atłasu orzechowego, zpod niéj wychodziła dłuższa z pluszu angielskiego, w tymże kolorze, katanka pluszowa popielatém futerkiem obłożona i podbita. Kapelusz orzechowego koloru, takiemiż piórami ubrany.

Mała panienka ubrana była w „Polkę" z aksamitu szafirowego na sukni jedwabnéj tegoż koloru. Kapelusz biały atłasowy z polnemi dzwonkami z szafirowego aksamitu. Trzy wyż opisane ubrania zwróciły powszechną uwagę.

Z materyj jedwabnych najużywańsze są: gładkie tafty lionskie i Grosgrain, lecz przewyższa je trwałością materja zwana Marie-Blanche, która jest z najlepszego włoskiego i francuskiego jedwabiu, w zupełnie nowym rodzaju tkana.

Najmodniejsze są krótkie suknie z Sarszu, sukna i pluszu angielskiego, „Polki" aksamitne okładane futerkiem, kaftany z wydry i astrachanu, paletoty sukienne, szlafroki ranne i okrycia balowe, z których godne uwagi są: szlafrok ranny à la Pompadour z białego tybetu rubinowego koloru atłasem ubrany, inny z perłowego pluszu niebieskim atłasem ubrany i podszyty. Okrycie balowe białe w kształcie Peplumu szeroką frandzlą obszyte, i inne także z tybetu okoliste, podszyte wiśniowym atłasem. W końcu najnowsza katanka „Coquette", bez rękawów z tyłu i z przodu, formująca długie zęby. Wszystkie suknie do stroju ubierają się koronkami, oraz do balowych sukien bardzo używają falbanek koronkowych Beduiny, mantyle i chusteczki „Marie-Antoinette" koronkowe. Zwracamy uwagę Sz. Czytelniczek na okrycia głowy w stylu włoskim. doskonale do teraźniejszych fryzur zastósowane.

Jeszcze kilka ubrań dziecinnych. Ubranie dla dziewczynki czteroletniéj, sukienka z wiśniowéj Popeliny, ubrana pliskami atłasowemi i naszyta guziczkami sieczkowemi, staniczek wycięty i krótkie rękawy obszyte białą gipiurą. Pasek atłasowy zakończony w tyle różyczką z końcami z tegoż atłasu. Ubranie dla dziesięcioletniéj panienki: suknia z niebieskiego pluszu angielskiego, u dołu obszyta popielatym barankiem, „Polka" z niebieskiego pluszu dołem barankiem obszyta i na boku guzikami popielatemi zapięta. Toczek z baranka popielatego.

Ubranie dla trzechletniego chłopczyka. Spodniczka z popeliny w kratę niebieską z zielonym, katanka szkocka aksamitna zapięta na stalowe guziki.

Ubranie węgierskie dla chłopca ośmioletniego, całe z czarnego aksamitu złożone, z szerokich majtek i wolnéj sukienki opasanéj paskiem, obszytéj czarnym astrachanem, czerwone pończochy i futrzana czapka.

Do najświeższych strojów balowych należą wstążki tkane w kwiaty, np. róże z liściami, fiołki i dzwonki polne. Tło wstążek jest wycinane, tak, że te kwiaty tworzą ciągnącą girlandę, którą się suknie podpinają. Włosy farbowane na żółty kolor, używane są w Paryżu lecz tylko w niższéj klasie, w towarzystwach arystokratycznych zupełnie zarzucone. Suknie z materyj jedwabnych ubierają rulouami aksamitnemi. Powiadają, że wyż wzmiankowane wstążki będą naśladować pióra pawia. Ładnie wygląda ubranie z plecionego w troje szutaziu, ale tylko do wełnianych sukien.

Opis ryciny.

Osoba pierwsza nosi **ubranie zimowe**, złożone z małego aksamitnego płaszczyka okładanego futerkiem, suknia „Moiré antique" obszyta trzema paskami aksamitnemi i naszyta guzikami zielonemi, kapelusz zielony rypsowy.

Osoba druga jest **w stroju krótkim** z brązowego rypsu, z takimże paletocikiem. Kapelusz koloru słomki z lila fiołkami.

Trzecia osoba **w stroju balowym.** Suknia różowa jedwabna, ubrana u dołu gipiurami, stan wycięty, oszyty gipiurą, zakończony paskiem różowym, w tyle spięty fontaziem z gipiury, zpod którego wychodzą trzy szarfy różowe, oszyte gipiurą. We włosach białe rumianki z złotemi środkami.

Na wieczory tańcujące lub obiady proszone najbardziéj używane „Moiré antique", mora francuska i atłas w kolorach jasnych dla mężatek młodych, dla Pań starszych w kolorach ciemniejszych, które i młodym Paniom radzimy, gdyż nadają jeszcze więcéj świeżości i białości płci, nawet **na bale publiczne** są czarne suknie bardzo używane, a ubierają się tuniką z czarnéj koronki. Widzieliśmy bardzo strojną suknię z gazy popielatéj, ubranéj piórami popielatemi, srebrem narzucanemi; inną suknią także popielatą, ubraną niebieskim aksamitem i blondynowemi medalionami. Do tych sukien były podwójne staniki, jeden pod szyję do stroju mniejszego, drugi wcięty à la Louis XV. na wieczory karnawałowe. Była także suknia dla osoby starszéj z gęstéj gazy w dwóch cieniach koloru karmazynowego, chaftowana złotem, co nadzwyczaj dobre wrażenie robiło.

Suknie krają się ciągle z przodu krótkie i bez fałdów, w tyle długie i w głębokie fałdy układane. Wyszły znowu nowe krynoliny, zwane „Peplum", są one urządzone podług teraźniejszéj mody do skrócenia i do przydłużenia, o ile tego potrzeba. Robimy jeszcze wzmiankę o ładnym stroju na spacery. Suknia czarna mantynowa o dwóch spodnicach, z których dłuższa przybrana trzema falbankami atłasowemi, krótsza naśladuje tunikę obszytą jedną wązką falbanką z atłasu, z boku podpięta klapkami, ogarnirowanemi falbanką atłasową. Paletocik stósownie do sukni ubrany z rękawami wiszącemi. Kapelusz czarny z pąsowym aksamitny, szarfy atłasowe czarne.

W ogólności widzimy materje jedwabne, gładkie i kwiaciaste złotem, srebrem i perłami ubierane. Na sukniach, ubiorkach i kapeluszach pełno złota jak np. suknia biała jedwabna z tuniką nieniebieską atłasową, obszyta złotą frandzlą.

Dla panien polecamy suknie gazowe, tiulowe lub tartanowe, są one najodpowiedniejsze dla młodego wieku.

Kapelusze ciągle maleńkie. Kapelusz chusteczkowy z białych blondyn, z boku fontaż niebieski aksamitny, w tyle i pod twarz szarfy długie aksamitne, związane na włosach.

Inny kapelusz czarny aksamitny, ubrany grubym rulonem fiołkowym aksamitnym z frandzlą z piór fiołkowych, szarfy czarne aksamitne.

Toczek aksamitny bronzowy otoczony piórami tegoż koloru, spiętemi z boku agrafką złotą, długie końce aksamitne spadają w tyle na plecy aż do pasa.

Szarfy do każdéj sukni są prawie niezbędne, i nie tylko złotemi kołami, ale strzałą, sztyletem, podkową lub małą złotą lirą przytrzymane.

Opis krojów. (Arkusz I.)

Fig. 1—4. **Okrycie balowe**. Odpowiednie do tegoż użytku, wycięte dołem w zęby, gustownie i strojnie ozdobione. Krój tegoż okrycia jest dla osoby miernéj tuszy, lecz do każdéj figury z pomocą sposobu zwiększania przystósować można.

☞ **Powtarzamy tutaj, że całą skalę wymiarów możemy na żądanie bezpłatnie przesłać.**

Fig. 5—8. **Żaczek do wyjścia na koncert lub do teatru.** Ubranie tegoż może być z cienkich ruloników atłasowych lub wyszyciem szmuklerskiém zrobione.

Fig. 9. i 10. **Nowe wyszycia w naturalnej wielkości.** Wyszycie większe jest do paletotów przez plecy zastósowane, mniejsze na ramie paletota odpowiednie.

Sądzimy, że temi ozdobami, które sobie samemu zrobić można, sprawiamy przyjemność Sz. Czytelniczkom.

Fig. 11. i 12. **Nowe modele wiosenne**, które można do naturalnéj wielkości sposobem zwiększania przystósować, lecz zwracamy uwagę Sz. Czytelniczek, że następnie więcéj krojów tego rodzaju podamy.

Fig. 13. **Strój ranny**. — Fig. 14—16. **Kaftanik do pokoju**.

Krój Fig. 14—16. może być do Fig. 13. użyty z małą zmianą, dla tego te dwa modele razem podajemy. — Fig. 13. przedstawia ubranie bardzo bogate. Suknia wierzchnia może być z jakiéjkolwiek materyi zrobiona.

Fig. 17—23. **Różne stroje damskie**.

Fig. 17. **Kapelusz czarny** aksamitny, ściągany nad czołem obrączką złotą, w tyle węzeł duży atłasem lamowany, od którego jeden koniec w tył spada, drugi opasuje kapelusz w tyle.

Fig. 18. **Czarny tiulowy haftowany kapelusz**, przy którym woal z mantylką przypięty taśmą złotą, na którą spada frandzla z piór czarnych.

Fig. 19. **Kapelusz pąsowy aksamitny** do twarzy sieczką, w tyle stósownym aksamitem ubrany.

Fig. 20. **Ubranie pąsowe aksamitne** z złotemi gwiazdami w kształcie czółka zrobione, długie końce związane w tyle

Fig. 21. **Czepeczek ranny** z gipiur i aksamitek.

Fig. 22. **Ubranie balowe** z koronek z liściami i aksamitnemi kwiatkami, których końce na ramiona spadają.

Fig. 23. **Stanik jedwabny** perłami i koronkami Cluny ubrany.

(Arkusz II.)

Fig. 1—6. **Krój kasaka wizytowego**. Jest prawie obcisły z wiszącym rękawem Fig. 4. Spodniczka tegoż Fig. 5. Wyszycie jest szmuklerskie lub podług Fig. 6. zrobione.

Fig. 7—11. **Paletocik zimowy**. Przody tegoż paletocika są odmiennie jak to podług Fig. 8 widzimy, krajane, gdyż lewa strona krajana jest z klapką kończatą, która pod prawą stronę przychodzi, do szyi spięty jest agrafką; sposób używania takiéj klapki, jest także do innych ubrań stosowny.

Fig. 12—14. **Paletocik dla dziewczynki** od 12 do 14 lat **w naturalnej wielkości**, krój ten można z małą zmianą na osobę mniejszą, ujmując w każdém zeszycie, przerobić. Ubranie jego jest z aksamitu lub stębnem wykonane.

Bal akademicki jakkolwiek liczył o 40 par tańcujących mniéj jak w zeszłym roku — wypadł świetnie i przyniósł znaczny dochód — zabawa trwała do 4téj rano.

⁂ Drugi i trzeci wieczór tańcujący w resursie udały się wybornie — ochocza zabawa trwała do 5téj rano. Towarzystwo złożone wyłącznie z członków resursy z rodzinami, zabawa w trzech pokojach, skromność strojów, są to warunki, które tym wieczorom nadają cechę więcéj domową, co się też przyczynia głównie do ożywienia zabawy. Zarządowi resursy należy się podziękowanie za wprowadzanie téj instytucyi na właściwą drogę.

⁂ Fotograf p. Maliszewski urządził w Hotelu Drezdeńskim **wystawę stereoskopową** obrazów i widoków z wystawy paryskiéj. Możemy zaręczyć, że odwiedzający nie pożałuje czasu — widoki są bowiem zdjęte z prawdą i czystością i dają wyborne wyobrażenie owéj olbrzymiéj wystawy. Szczególniéj nasze Czytelniczki zachęcamy do zwiedzenia téj galeryi, która im właśnie opisy nasze uzupełnić może.

⁂ Z przysłanego nam sprawozdania **Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie** dowiadujemy się, że pierwszą wystawę obrazów we Lwowie otwiera 15go lutego t. r. w sali domu narodnego. Od połowy stycznia do 15go marca mogą pp. artyści obrazy nadsyłać. Przy téj sposobności powtarzamy, że za pośrednictwem biura naszego można nabywać akcyj tegoż Towarzystwa po 5 złr. 25 c. w. a., nabywając przez to praw członków Towarzystwa do premij, do wygranych i t. d.

⁂ Dziś 1go lutego w sali redutowéj bal stow. rękodzielników. 4go t. m. bal techników — a słychać, że ma być także bal maskowy medyków.

⁂ **Osobna wystawa rolnicza**, którą w zeszłym roku urządzono na wyspie Billancourt koło Paryża, należy do dzienników specjalnych. My tu przytoczymy tylko kilka szczegółów z jednego jéj oddziału, odnoszącego się do chodowli domowych zwierząt. W istocie wystawione tam gatunki musiały zdumiewać własnościami swojemi. Kury Crève-Coeurs mające wyborne mięso, ważyły 8—9 funtów, a znoszą rocznie do 100 jaj ważących 5 łutów. Jedna taka kura kostuje 20 fr., mają one na głowie jakby czepeczki. Kaplony Brahma-putra ważą od 14—16 funtów, kury tego gatunku znoszą do 180 jaj na rok. Kochinchiny, chodowane już i u nas, były w kilku kojcach, oznaką dobréj rasy u nich jest jeden kolor pierza. Słyną one jako szczególnie zdatne na kokosze i dobre wychowawczynie. Kury Padoue, wielkości naszych kuropatw, ale o wszelkich barwach, płacą dla wybornego mięsa 40—80 fr. Hiszpańskie odznaczają się białemi policzkami. Waga i pożytek tych kur pochodzi ztąd, że je cały rok karmią ziarnem. Gęsi dochodziły do 25 funtów po 40 fr., a kaczki z Rouen znoszą do 200 jaj rocznie. Wszystkie te gatunki dałyby się z łatwością u nas chodować.

Korespondencja „Kaliny“.

L. Jordanów. Z wydawania „Kaliny“ co dwa tygodnie, w dwóch arkuszach mają Prenumeratorowie te korzyści: pomnożenie rubryk, każda rubryka od razu obszerniéj, oraz znaczny przybytek tekstu, gdyż na dwa arkusze raz tylko przychodzi tytuł, spis rubryk i ceny, a nie jak dawniéj w każdym arkuszu.

Sprostowanie. — Numer 2gi z 15go stycznia 1868. Str. 7. szpalta 1sza, wiersz 9ty od dołu, zamiast: najdłużéj, winno być: „najostrzéj“.

Str. 7. szpalta 2ga, wiersz 26. od dołu, zamiast: niezmiernéj, winno być: „niezmiennéj“.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.

Planche I.

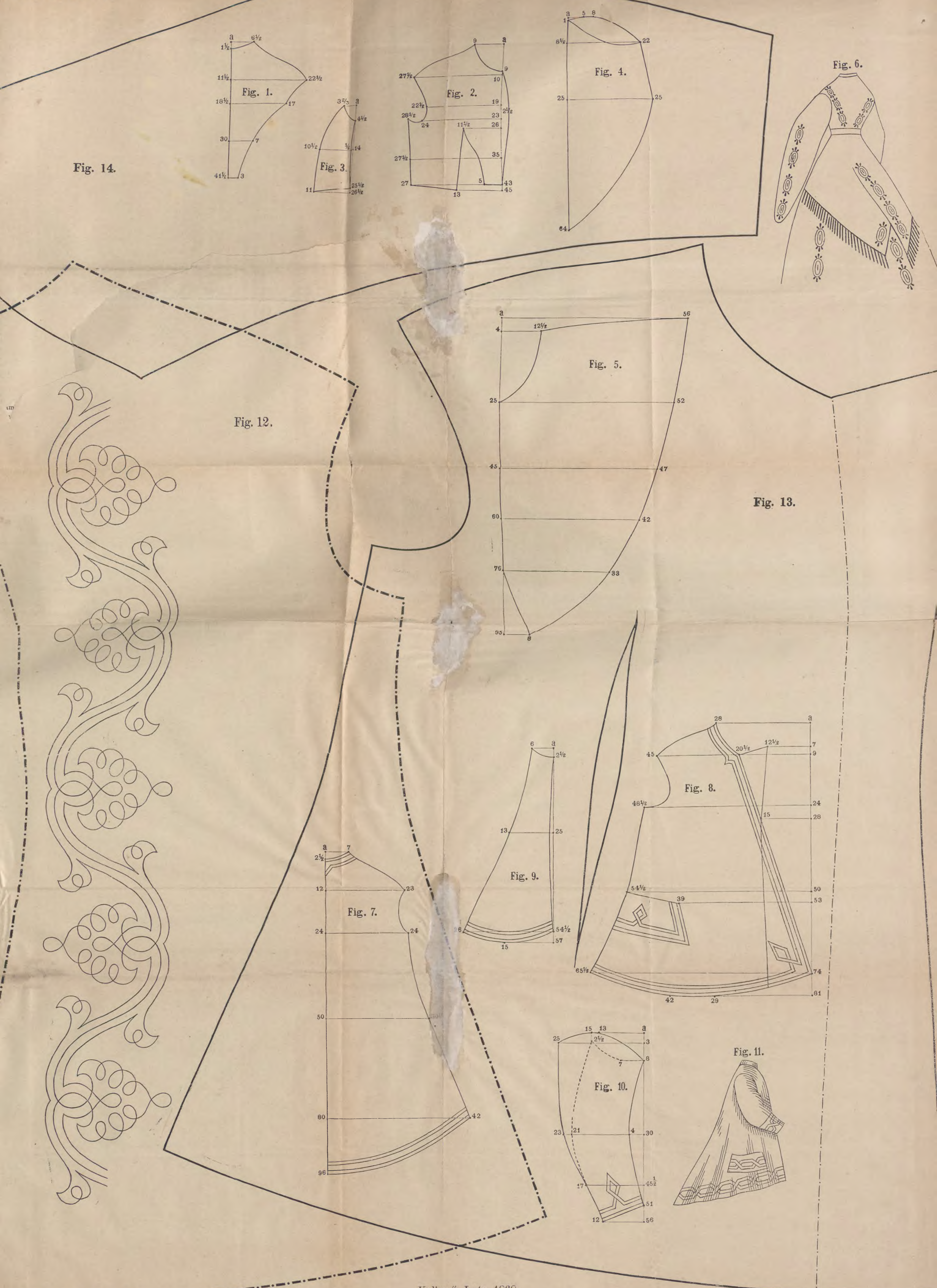


Fig. 1.
Fig. 2.
Fig. 3.
Fig. 4.
Fig. 5.
Fig. 6.
Fig. 7.
Fig. 8.
Fig. 9.
Fig. 10.
Fig. 11.
Fig. 12.
Fig. 13.
Fig. 14.

Planche II.

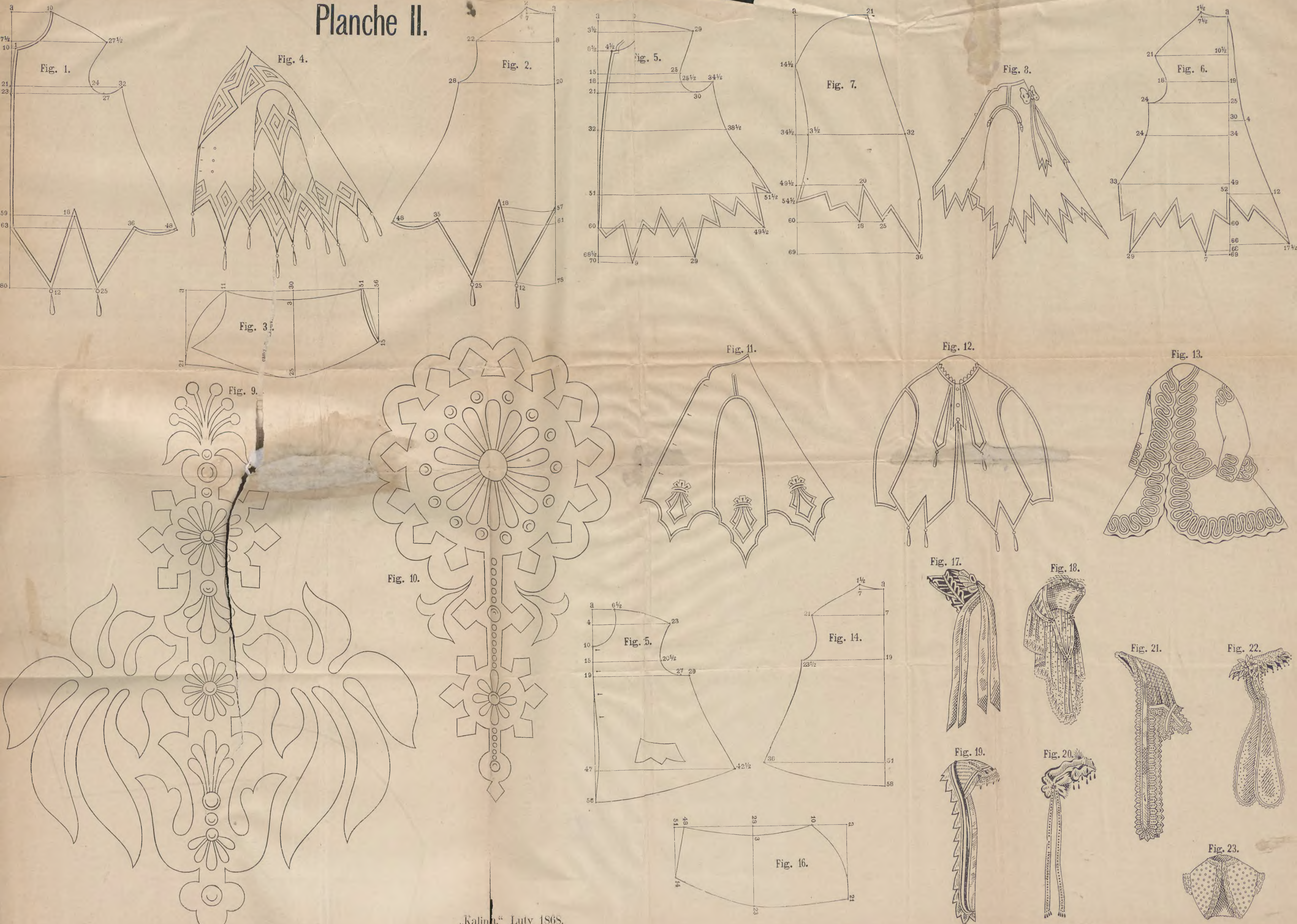


Fig. 1.
Fig. 4.
Fig. 2.
Fig. 5.
Fig. 7.
Fig. 8.
Fig. 6.
Fig. 3.
Fig. 9.
Fig. 10.
Fig. 11.
Fig. 12.
Fig. 13.
Fig. 5.
Fig. 14.
Fig. 16.
Fig. 17.
Fig. 18.
Fig. 19.
Fig. 20.
Fig. 21.
Fig. 22.
Fig. 23.